Emilja Topas-Bernsztajnowa

Z NIZIN



KUNCEWICZ i HOFMAN, WARSZAWA.

Emilja Topas-Bernsztajnowa

Z NIZIN

Nakładem Księgarni i Składu Nut
KUNCEWICZA i HOFMANA
Warszawa, Marszałkowska 91.

„WESIELE“

Obrazek z życia.

Już od wczesnego ranka zakręt z tem „wesielem“.

Izbę, wapnem wybieloną, jak się patrzy, wykropili przez lejek w rozmaite wyrwasy, drapaką wymietli ze wszystkich kątów czyściutko, za belki powały zatknęli świeże gałązki brzeziny.

Zaraz poweselało w chałupie od zieleni. Tylko że ta powała! Dobry chłop to i ręki wyciągnąć nie potrzebuje, żeby do niej dosięgnąć. Jak zaczną „ulać,“ będzie ich toto pewnikiem po łbach trzepać. Ano, trudno, niema rady.

A teraz dalej „sykowanie.“

Wiadro od pomyj trza wynieść do sionki,

„co mo zawadzać,“ obrazki na ścianie powycierać z kurzu; już cheba od Wielkanocy nie ocierane. Łóżka wynosić nie potrza, błogo, że i na niem ktoś przysiądzie, ino je trza zeprzeć na cegiełkach, bo się sielnie chleboce.

Ławki z pod kónewek, jedną swoją, drugą od somsiadów ustawi się za porzędem wele ściany.

Jescek bydzie do siedzynia kuferek—pomalowali go świżo zielonym pokostem, i parę stołków.

Jedna aby pólka z talerzami i łyżkami‘ blaszanemi zostanie na miejscu „lo okrasy.‘

Subjekcyja bo subjekcyja z takiem wesielem.

— Lo Boga, juz się schodzą, a tu panna młoda jesce w kosiuli aby i w spódnicynie.

Ciotka aż w ręce plasła.

— Adyć się nie dłub, ksindze cekajom, ślub zamówiliśma na trzeciom, a tu już piąta.

Panna młoda żachnęła się niecierpliwie.

— A to już cheba chceta, zebych sła przez błogosławieństwa.

Gości schodzi się siła.

Baby usadzają młoduchę na środku, cisną się wszystkie w koło niej, rozplatają mizerny warkoczyk, śpiewając:

Usiądź-se, usiądź-se, dziewcyno na dzizy,
Niech ci się, niechci się warkocyk rozpizy.

Tymczasem starsza druchna, dzieucha rozrosła jak pień, krasna na gębie, duza i mocna jak kuń, rękoma uwalanemi w cieście, ściąga na nitkę „walon“ z grubego tiulu, upina go na głowie młoduchy na maleńkim wianuszku ze świeżej „merty.“

Naraz powstaje zgiełk: baby sobie mało do oczu nie skoczą. Jedne radzą wianusek pod walonem, drugie na walonie.

Druchna „herud“ ani słucha, otóż bydzie pod walonem i tyla...

A śpieszy się, aż „ştybny“ tiul chrzęści jej pod „palicami.“

— Ciociu a macie ta obrącki?

— Adyć mom, ino się śpies.

Za oknem tymczasem, na dziedzińczyku, gwarno, hałaśliwie, a zaduch, jakby nie pod gołem niebem.

Od gnojówki idą gryzące wyziewy nawozu, śmieci, pomyj, łącząc się z ostrym odorem obórki i chlewika.

W rozgwar ludzkich głosów, w rzępolenie strojnej basetli wpadają raz po raz poryki „zaniedbanych“ krówek; ktoby ta miał kiej dziś pomyśleć o nich. Z chlewika odzywa

się chrząkanie i kwiki. Trzoda też się upomina o swoją porcyę osypki.

Pod samemi prawie drzwiami sionki, wiszącemi na jednej zawiasie, w jeziorku błota, wesoło pluszczą się kaczki.

Co która da nurka, chlapie ciemną, gęstą plamą na strój weselniczki, to od chóru wrzaskliwych śmiechów aż się rozdzwoni powietrze.

W cały ten harmider i rozgwar wpada „młody,“ chmurny, z zalaną już krzynę pałką.

Głowa aż mu się mieni, tak sobie ją wypomadował galancie. Załował se bydzie? Całe pudełko za trzy grosze wysmarował odrazu.

Nikt ani pomyśli o osłonięciu dziewiczych wdzięków oblubienicy.

Tupnął nogą z wściekłością.

— A kiejże ta do choroby kuniec z tem ubieraniem, bo cisne wszystko i pude se.

Ciotkę aż mrowie przeszło. Łońskiego roku kilku kawalirów uciekło od samego ślubu.

Nadrabia jednak miną.

— Tylo nie wydziwioj, wis go, aby juuuz.

Spiesznie zawdziewają młodej przez głowę mocno niebieską tybetową suknię, je-

szcze kilka gałązek „merty“ zaczepiają za oczka „walonu“—i gotowa.

Ojcowie młoduchy stoją cicho w kącie. „Ociec,“ maly człowieczek, w zadlugiej świtce szarej, pyka z krótkiej fajki pod ostro przyciętym szpakowatym wąsem. Aż z nogi na nogę przestępuje ze zniecierpliwienia.

Od szarej jego sukmany idzie właściwy chłopom odór mieszaniny świeżo upieczonego chleba, nawozu, machorki.

Oczy pod krzaczastemi brwiami ustawił w jeden punkt, zadumał się.

„Sielny dumac,“ nawet na ksiązce potrafi.

Matka sparła lewą rękę na mocno wystającym brzuchu, na prawą, opartą łokciem o pierwszą, pochyliła twarz zamedytowaną.

Jakaze tez ta bydzie dola jei córuchny.

Ale oto przeciska się przez gromadę matka „młodego,“ „gdowa,“ porzunna gospodyni.

Miała ci ona kiejsik własne obyjście, tero siedzi na komornem, ino zawdyk znacno, ze nie belejaka.

Nowiusieńki na niej wełniok — utkała go wej sama na synowe gody.

Głowę ma okręconą muślendelenową wzorzystą chustą, zsuniętą na same czoło; masa dętych paciorków opada jej sznurkami na suchą, płaską pierś.

W szerokim uśmiechu zaświeciła jedynym u góry, kiwającym się żółtym zębem.

Młodzi przyklękają u jej kolan, ona wznosi ręce nad ich głowami.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętygo. Ament. Jo, matka, błogosławię was, ty, synu, i ty, synowo, azeby błogosławił wom Paniezus i ta Matka Najświntsa; błogosławie was, ty, synu, i ty, synowo, jo matka, azebyście zyli we scynściu i we zgodzie, po Bozemu, a zgodnie i w miełości scęśliwie, we wselakiem dobrem zgodliwie; jo, matka, błogosławie was, ty, synu, i ty, synowo. A tero znakiem krzyza świętygo błogosławie was na drogę. Dospomagaj wom Paniezus. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętygo. Ament.

Podnoszą się z klęczek. Wszystkie oczy zamglone rozczuleniem. Podchodzą potem kolejno do gości, obłapują ich za nogi, a każdy im coś powie jak umie.

Druchna tymczasem przybrała się już z mieska w wykrochmaloną perkalową spódnicę z „blużkom.“

Z wielkim wysiłkiem wciąga białe bawełniane rękawice na ciężkie łapy swego „drużbana;“ to dziwne, że jakoś dziś wleść nie chcą, bo to raz paradował w nich na koźle.

— Hej, panno, nie cingnąć tak; to piniodze kostuje.

— To ceguj stoić jak z drewna?

— A bo reke mom felernom; ni widzi to panna, jak wisi u boku?

Opuszcza rękę, niby bezwładną.

Dowcip zrobił swoje. Szalony śmiech weselników przygłusza smętnie do wyjścia przygrywającą „armoniję“ i basetlę.

— No, jazda!

U furmanek tłok, ścisk, i to się drze naprzód, i drugie, i trzecie.

Stryjek dysponuje:

— Napirse kobity z dzieciamy!

Potem furmanki zawrócą po resztę weselników, a na samym ostatku po młoduchę.

Baby okręcają się w chustki razem z dziećmi i gramolą się na bryczki.

Gwarno zajeżdżają przed kościół.

W czerwcowym upale stutua Matki Boskiej, cała zalana promieniami słonecznymi, stoi niby w płaszczu ze złota, a gwiazdy u jej korony skrzą się tysiącem iskier.

— No dalej, za porzędem.

Ustawiają się parami. W pierwszej idą dwie małe drużki, w krochmalnych spódniczynach, z ogromnemi sino - czerwone-

mi piwoniami w ręku, dumne z takich wspaniałych bukietów.

Za niemi „młodzi“, ona okrutnie nieswoja, pierwszy raz w „mieskiej“ sukni, bez wełnioka, bez zapaski, ino strasznie „honorna“ swoją pozycyą panny młodej, on ciągle jeszcze chmurny, patrzący z podełba.

Już uszykowani wchodzić za porzędem.

Ale oto drogę im przecina czterech żałobników. Wnoszą na pasach do kościoła trumnę.

— Kiepski znak, nie bydzie się onym wiedło.

Za nieboszczykiem nikt nie idzie, aby ino dwie spłakane sierotki.

Czerń na nich jeszcze smutniejsza przy świecącym pokoście białej trumny.

Ksiądz z zakrystyanem odśpiewali: „Salve Regina.“ Sieroty, tuląc się do siebie, powstają z klęczek.

Orszak weselny bez szmeru wsuwa się do kościoła.

Ale dobrodziej jeszcze nie ma czasu.

W kruchcie już dobrą chwilkę czeka chrzestna z długą poduszką, otuloną w kraciastą chustkę.

Trudna rada; trza poczekać.

Chrzestna podchodzi do chrzcielnicy; ceremonia zabiera długą chwilę.

Nareszcie.

W kruchcie weselni wciąż jeszcze stoją za porzędem.

Teraz mogą już wejść.

Zakrystyan w swojej białej komży, siatkową koronką oszytej, uwija się między nimi, lekko utykając. Rozdaje orszakowi świece; jeden zapala od drugiego i zbliżają się do ołtarza.

Młodzi klękają pierwsi, za nimi drużyna weselna.

Ksiądz wysoki, szczupły, z ascetyczną podłużną twarzą, w której pali się para wymownych oczu, wychodzi uroczysty, lekko pochylony, w białej kapie.

— *Veni Creator Spiritus*—intonuje uroczyście.

— *Mente Tuorum visita*—spływa z chóru, jak echo.

Swacha podaje obrączki, zakrystyan kładzie je na tacę, ksiądz święci i jednę z nich wsuwa na czwarty palec młoduchy.

Teraz zwraca się do niego:

— Masz dobrą a nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł tę tu Marcyannę Żubrównę za małżonkę sobie obrać?

— Mam.

— Nie ślubowałeś której innej wiary małżeńskiej?

— Nie ślubowałem.

Zamieniają obrączki, a tymczasem weselniki na pustą tacę rzucają datki „lo zakrystyana.“

Na zielonem tle blaszanej tacki drobne monety bielą się lub czernią.

Ksiądz zsuwa z siebie stułę.

— Mów za mną.

Z natężeniem uwagi młody powtarza za księdzem słowa przysięgi:

— Ja, Maciej Zawada — mówi szepleniącym głosem—biorę sobie ciebie, Maryannę Żubrównę, za małżonkę, ślubując miłość, wiarę i uczciwość małżeńską, a iż cię nie opuszczę do śmierci, tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i Wszyscy Święci.

— I ty mów za mną.

Teraz ona porusza grubemi wargami bezmyślnie, monotonnie.

Oczy ma spuszczone.

Ostatnie promienie konającego dnia wpadają przez wysokie okna do świątyni. Żółte światła z wewnątrz, łamiąc się z niebieska-

wemi smugami od świec, zapalają na twarzach klęczących fantastyczne refleksy.

Para motylków w miłosnym pościgu zapędziła się aż pod sam wielki ołtarz, nie mogąc się wyplątać z pożółkłych girland suchych liści.

Gromada powstała z klęczek, cisnąc się do wyjścia. Jeszcze przyklękli u bocznego ołtarza, a potem gwarnie wysypują się na ulicę.

Trzy wielkie momenty życia przeszły przez kościół, tylko, że na ten raz zmieniły porządek; pochód rozpoczęła Śmierć.

Hu! ha! Furmanki aż się trzęsą od śpiewów, pokrzyków, rzępolenia basetli.

Zalane już trochę pały zawróciły się jeszcze bardziej od rozczulenia i upału w kościele.

Teraz porządek inny: młodzi wracają pierwsi.

U drzwi czekają weselników.

Ona na powitanie całuje w rękę każdego: młody, stary, mężczyzna, kobieta; ino się ojcom do nóg pokłoniła i „gdowie“ świekrze.

Izba napełnia się w jednej chwili.

Jedni stają na środku, inni siadają.

Weselniczki rozpościerają z szumem wykrochmalone „ŝtybne“ kiecki, albo pasiate „wełnioki.“

Grube nogi w wysokich, stukających trzewikach, zasznurowanych zieloną tasiemką na złotych guziczkach, powysuwały zalotnie naprzód.

W ciasnocie drugi zaklnie siarczyście, jak zawadzi o taki wystający „gicoł.“

Na zielonym kuferku rumiana swacha gwałtem zatyka piersią usta drącego się w niebogłosy bębna.

Pod oknem kuma monotonnem bujaniem uśpić usiłuje pyzatego, dwuletniego może chłopaka. Huśśś, huśśś, a chłopcu spać się ani marzy; wrzeszczy, jak najęty, a kopie, a wierzga a złości się.

Naraz, jak nie „chyci“ za zwieszone u szyi matki paciorki, jak nie szarpnie niemi.

Deszcz różnokolorowych kulek posypał się po przedsobku kobiety i z cichym szmerem stoczył się na podłogę.

Matka zeprała co prawda huncfota, nawytrząsała co ino, ale przez to wrzask jeszcze większy.

Tymczasem gromada dzieciaków rzuciła

się zbierać „korole“; biją się, szturgają, popychają.

A jest tego kupa, plączą się pod nogami, cisną w najciaśniejsze kąty, piszczą, krzyczą.

Pierwszy poczęstunek „chleb-sól“, a ma się wiedzieć i wódka.

Weselniki przepijają do siebie na stojączkę, bo w izbie na siedzenie dla wszystkich za ciasno.

Tylko starzy rozpostarli się za stołem. Rajcują.

„Dumac“ przysiadł się do nich.

— Jak myślita kumie — zwracają się do niego, jak do wyroczni — prędko to ta na świecie bydzie wojna, cy nie prędko?

— Godanie po próżnicy; nijakiej juz ta nikaj wojny nie bydzie, zginena do cała, jedne aby sądy bedom miedzy królami.

— Bójta się Boga! jakoze to? To cheba, ze się prawowali bydom, jakby, nieprzymierzając, jo z wamy?

— A juścik.

— Rany Boskie! A skądze to ludzie tak dokumentnie wiedzieć mogom?

— Dyć po pismach stojało.

Kum oczy wybałuszył, jak bańki. Spu-

ścił głowę. Zamyślił się nad wielkością towarzysza, który takie rzeczy wie dokumentnie.

Trzeci za stołem, czerstwy staruszek, nie wdaje się ta w „zodne polityki.“

Krzaczaste brwi opuściły mu się na same oczy, mętne już od wódki, podparł się na ręku, a podśpiewuje wesoło.

Bodaj zmarniały skrzypecki
Bodaj zmarniały.
Kiejzem jechół do dziewcyny,
Grać mi nie chciały,
Da nie chciały.

Ochrypły głos bulgoce mu się z oślinionych ust, jak wrzątek z pełnego garnka.

Nie on tu jeden taki śwarny.

Obok barczysty chłop, z miną z waszecia, ociera sumiaste wąsy, i on radby coś zaśpiewać.

Ale mu się już za bardzo kurzy z czupryny, trze i trze napróżno zaczerwienione oczy, a piosenka „psia twarz“, jak nie przychodzi, tak nie przychodzi.

Ita. ita, romta
Ita. ita, dana—

powtarza w kółko.

— Iii, zmeliło mu się do cała.

— Niechojta, kumie; ino zawracanie. To juz jo lepik spotrafię—woła stary.

Kieliszek mu się przelewa w niepewnej ręce, ale on nie traci swady i śpiewa:

Mój ty kielisecku, obróćma się wkoło
Jak wypije osimnaście, bydzie mi wesoło.
Co mi to ta znacy kielisecek jeden,
Kiedy ja spotrafie dwadzieścia i siedem?!
Wiwant! wiwant! hu! ha!

Teraz swacha wnosi kawę z ciastem. Upiekła je sama.

Każdemu z gości wciska w rękę po grubym kawałku ciężkiego placka z zakalcem, tylko że na kawę większa część weselników musi poczekać.

— Gdzieby ta tyla śklanek albo i gorcków.

Stojąc po środku izby chlipie głośno fusiasty, ciemny napój z rozkosznem zadowoleniem.

— Ano, wej cas na ulanie.

Starszy drużba zrzucił granatowy spencer. Ino mu migają białe rękawy kosiuli z pod czerwonej pasiastej kamizelki, spiętej na złote guziczki.

Obejmuje prawą ręką swoją druchnę; drepcąc w miejscu, przytupują:

Ej, ciuch, ciuch po podłodze,
Usuwaj sie nózka nodze,
A trzewicek bucikowi,
A dziwcyna chłopokowi.

Wolno, drobniutkim kroczkiem obchodzą parę razy izbę dookoła, aż naraz zrywają się, jak burza, w szalonym obertasie.

Sadłem świecące, podkute buty tylko ognia krzeszą.

Za nimi parami drudzy; drużba ze swachą pierwsi, on, kawalir, juz z mieska, w długich butach, w „manarce", z papierosem w ręce.

Śmigajom co ino ha, a dym raz po raz kłębem buchnie pod sam nos tancerki, wyższej od niego o głowę. Niech wie, że to on „nie bele jaki, ino mieski faczet."

Ona widocznie „zeniata", bo na głowie ma mały czepeczek „rułkowany."

Wywijajom to „tramblankę", to oberka, to mazurkę, a „armonija" i basetla wciąż bez różnicy jedną i tę samą dudlą melodyę.

W tanecznem kole coraz ciaśniej: potrącają się, popychają, następują sobie na nogi, a przy tej okazyi często gęsto wyrwie się klątwa lub wymysł.

Na kominie tymczasem skwierczy kapu-

śniak z wieprzowiną, praży się tatarczana kasza ze „spyrką.“

Bogate „wesiele“.

Swąd z komina, dym z fajek, odór piwa, wódki, kapusty, potu ludzkiego; powietrze tak gęste, że choć nożem kraj.

Twarze ociekłe potem, oczy rozbłysłe.

Raz po raz któreś wybiegnie na dwór, dopadnie żórawia, wyciągnie kubeł i chciwie zanurzy w nim spieczone usta.

Ochota coraz większa.

Wyrwali się z ciężkiego kieratu i ani chcą pomyśleć, że do dnia nanowo się weń wprządz trzeba.

Chwila obecna do nich należy, używają jej też z zapamiętaniem:

— Ki dyabeł, wiecnie się ta zamortwiać!

Włosy od kurzu aż białe, płuca nie mają czem oddychać, ale to nic, aby obertas, aby mazurka!

Przerwa. Stryjek wnosi świeży sztof wódki. Goście robią z tekturki lejek. Wciągając nozdrzami chciwie rozkoszny odór, pomagają rozlewać ją we flaszki, śpiewając chórem:

Ni mom ci jo zuny,
Ni mom ci jo dzieci,
Ino tę gorzałeckę,
Co w gardło poleci.

Pije jo se, pije,
Ino nie za cyje,
Za swoje trzy grose,
Co w kiesonce nose.

Zziajane tancerki przysiadują gdzie popadnie: na ławie, na kuferku, na oknie, na łóżku, bodaj brzeżkiem—inaczej nie można, bo na niem wpoprzek śpi pokotem pięcioro dzieci.

I znowu obertas, po obertasie polka, po polce obertas, a basetla i „armonija“ wciąż to samo rzępolą.

Stryjek zatrzymuje grajków.

— Niechojta, starsa druchna mo śpiwać!

Zmęczona obertasem przeciska się na środek. Śwarna dzieucha. Zachychotała zalotnie, czarnemi oczyma łypnęła ku chłopokom, tupnęła prawą nogą, jakby się weprzeć chciała w podłogę. Bujną piersią podała się naprzód, wzięła się pod boki. Śpiewa:

Niesceśliwa dolo, za mąz iść wzbraniajom,
Ze podzyłe lòta, to zglindu ni majom,

Jo to jedna cuje,
Ze sie gorzko truje,
Ze bez mynza zyje,
Z cegóz jo utyje?

Som to som, z mynzamy
Są duze kłopoty:
Geby sie nabije,
Pędzi do roboty.
Zebych jednak swygo kochanecka miała,
Coby se zazundał, tobych jemu dała.
Łózecko wyściele, kiej scepidełecko,
Sama sie ułoze i jego połoze,
Raniusieńko wstane, śniodanie zgotuje,
Do skuńcynia zycia jego usanuje.

Włosy mokre od potu przylgnęły jej zupełnie do świecącego, jak szklanka, czoła.

Nie dają jej jednak odetchnąć.

— Jescek, Maryś, jesce colek, ino cosik wesołygo.

Ociera rękawem spocone czoło. Nie wzdraga się, będzie śpiewała, tylko prosi:

— Ady nastąpta się, ludzie, bo mi dusno:

Rozsuwają się trochę, a ona zaczyna znowu:

Starałeś się, chłopce, o bogatom zune,
Tero sie postaraj, cem pojedzies po nie.
Zaprzęge gąsiora i gąske siodłatom,
Pojade, pojade po zune bogatom.
Bydzie gąsior gęgał i gąska gęgała,
Bydzie panna młoda z paradom jechała.
Hu! ha!

Z ciżby odzywają się wołania:

— Drużbany tero śpiwać, drużbany.

Z powagą występuje starszy drużba.

Ręce wsadził w kieszenie od spodni, nogi rozstawił szeroko:

Od tomasowskiego pola dwóch chłopaków stoi,
Jak stojom, tak stojom, jaz ich nogi bolom,
Posli sobie dalij, pocyny se radzić,
Jakby tu, jakby tu panieneckę zdradzić.
Ty kup kwartę piwa, a jo gorzałecki,
Tak ci to zdrodzajom chłopcy panienecki.
Nie sama jo, nie sama do korcmiska chodze,
Ino zawdy z sobom kompankę prowodze,
Twojom kompaneckę ciepłem piwkiem spoje,
A tobie, dziwcyno, figielka wystroje.
Hu! ha!

— Jescek sosik, jescek.

Odchrząknął, splunął przed siebie i znów zaczyna:

Zawróć kunia, zawróć,
Nje puscaj go na grudź.
Jak sie nie ozynis,
To me nie bałamuć.
Jo kunia zawróce,
Na grudź go nje pusce,
Choć sie nie ozynie,
Tak cie zbałamuce.
Hu, ha!

— Tero młodsy druzba. Dalij!

Wypychają z tłumu istnego albinosa.

Zamrugał białemi rzęsami, spuścił głowę, śpiewa:

Jak bydzies sła do korcmiska,
Trąć ze me nogom, da nogom,
A jo sie tez dorozumie,
Pude za tobom, za tobom.
Z góry ja se jade,
Tamował nie byde,
U cie, panno moja,
Nocował ja byde.

Kapuśniak gotów, spyrka aż przywarła, czas na kolacyjom.

Na kozłach, zbitych na prędce gwoździmi, układają nieheblowane deski—to stoły...

Weselniki tłoczą się jedni na drugich. Krzeseł i ławek mało, więc na dwóch antałkach opierają długą deskę.

Nizko coprawda sięgać do stołu z takiego „siedzenia,“ ale bo to jakie hrabstwo? Trza, jak można.

Tymczasem odzywają się urągania.

— Ady nimo miejsca, nimo miejsca, cego stryjek wsystkich pakuje.

— Ino cichojta, bo cisne wsystko; ni mozno siedzić, to i stoić—odpowiada swarliwie.

Ze wszech stron słychać wołania:

— Państwo młode, państwo młode, onych trza usadzić na samym wirzchu.

— Nieprawda, bo ojców—oponuje stryjek.

Na gołym stole — jescekby ta jakichciś serwetów!—stawia się w miskach kasze, rumiana, jaze ślina idzie—rzuca garść blaszanych łyżek.

Kuma przynosi przetak z kromkami chleba. Pełni dziś honorowy urząd kucharki-gospodyni.

— Moi ludzie, zesuńta się do kupy! — woła.

Cisną się do siebie, jak owce przy pożarze.

Jeden drugiemu chwyta przez głowę to łyżkę, to chleb, to talerz. Od śmiechów, żartów, gwaru aż się kotłuje.

— Adyć zjedzta, ludzie—napędza kuma—wej talirze lo drugich potrzebne. Jescechby ta myć abo i wycierać! To ino pańskie grymasy; bo tu kto parsywy?

Jedzą jedni po drugich. Groch, kasza, kapuśniak, wieprzowina, wszystko się je łyżkami, „abo i garściom.“ To ino głupie wymyślenie one widelce; bo to Pan Jezus nie doł palców?

Teraz kolej śpiewania na kumę-kucharkę. Krasna, jak upieczona, odeszła od komina; twarz jej się świeci, jakby wysmarowana sadłem; fartuch jednym końcem zatknęła za pas: „to paradniej wyglądo.“ Śpiewa:

Groch się nie obrodził;
Same grochowiny.
Co to bydom jadły
Te druzbowiny?
Groch się nie obrodził,
Same łopatecki.
Co to bydom jadły
Te druchenecki?

Ci, co zjedli, ustępują miejsca innym.

Gwar głośnych rozmów, wybijanie taktu łyżkami, śmiechy, śpiewy, aż głucho. Jeden drugiego nie rozumie; istna wieża Babel.

Przed młoduchą tymczasem stawiają na talerzu dwa wieprzowe ogonki. „Tak koze obycaj.“

Co ona je odsunie, drudzy przysuwają, aż porwała za talerz i wraz z ogonkami smyrgnęła go pod stół.

Śmiechy, krzyki zupełnie już dzikie.

Tymczasem starsza druchna szykuje do oczepin.

Goście pomagają jej sprzątać ze stołu, tylko wprzód jeszcze każdy musi „colek ochfiarować lo kucharki.“

To już na głowie starszej druchny.

Istna karyatyda, o głowę górująca nad innymi.

Staje w rogu stołu, próbując przekrzyczeć wrzaski:

Zjedliśta, wypiliśta,
Toć wom nie wymowiom,
Po dwa grose, po trzy grose
Na kucharke wołom.

Jednocześnie wyciąga przed siebie warząchew, a kopiejki padają na nią gęsto.

Ale tu jeszcze nie koniec jej obowiązków.

Wolno zdejmuje z głowy młoduchy „walon“, owija go w koło talerza.

Głos ma już zupełnie zachrypły, woła jednak dalej:

Było co jeść, było co pić.
Ino niema panny młodej w co ocypić.

Co kto rzuci monetę w talerz, przewraca go w drugi, a krzyczy dalej co sił:

A jo krzyce, a wołom.
Panna młoda z głowom gołom!
Dajcie ze pannie młodej talara,
Zeby ij się korunecka bielała.

Kum przynosi w papierze coś okrągłego, odwija i chce gwałtem zmieścić na głowie młoduchy—przetak.

Iii to nie to; a moze to bydzie?

Wciska jej na głowę — patelnię.

I to nie? No to juz cheba to pewnikiem.

Ogromny wykrochmalony czepiec chwieje

się chwilę i nagle podrzucony energicznym ruchem głowy, spada na stół.

Jescek ni? No to juz to na pewno.

— Ubierają jej głowę w „korunę“ z jaskrawych kwiatów.

Starsza druchna nie przestaje manewrować talerzem; zupełnie już ochrypła, śpiewa ciągle:

Juz to nie paninka, ino janioł Bozy.
Jak obrócę raz, dwa, kuzdy rubelka połozy,
Na miseckę, na garnusek,
Co to kiejś stłuce peperusek.

Na talerz hojnie sypią się datki.

Wtaczają nowy antałek piwa; wszyscy gromadą śpiewają „chmiela.“

Teraz to już nie śpiew, ale ryk, wycie, tupotanie.

Kumotr zwalił się pod stół, jak kłoda. Stryjek z głową na stole chrapie głosem, do gromu podobnym.

Lampa kopcąc, dogorywa błyskami ostatnich płomyków, jakby i ona wraz z odchodzącą nocą ustępowała, bijąc pokłony tryumfowi świtu.

Odwieczny bój dnia z nocą ma się ku końcowi.

Po kątach jeszcze czają się mroki, ale

brzózka z dziedzińca już wyraźnie zagląda w okienko.

Przez mętne szybki wlewają się smugi białego światła, rozświetlają przedmioty, kładą się na twarze żółtością zmęczenia.

Czyni się świt, prowadząc za rękę gości codziennych: Znój i Troskę.

Do panny młodej przysiada się starszy drużba. Po kamracku objął ją za szyję.

— No cóz, Marychno, przepadło ulanie z chłopakamy; juz na swoje śmiecie idzies— mówi, a czkawka co chwila mu głos przerywa.

— A no juścik.

— A nie skoda ci?

— Co ni mo być skoda? Dyć skoda.

— To cegoześ się tak rwała do ołtarza. Pilno ci było wydać sie.

— Nie obrada jednej.

— Ale wis, ten twój Maciek to straśnie nagły, gorącka do bitki. Jakby cie zeprał kiej...

— Niedocekanie! Ino by me tknon, tobych cisnena wsytko i posła nazod do słuzby. Widzioł tko, świat nie torba, nie tu, to tu, a wsędzie robić potrza, cy gdzie, cy u siebie.

Pan młody zerwał się z ławy. Błysk gnie-

wu rozjaśnił mu na chwilę zamroczone wódką oczy.

Zatoczył kilka kręgów, zanim się dostał do zagawędzonej pary.

Kułakami spycha ze stołka drużbę tak gwałtownie, że tenże ledwo się oparł o przeciwną ścianę.

Przyskakuje napowrót wściekły.

— Zebych Boga w syrcu ni mioł, ze to twoje wesiele, tobych cie, hycloskie nasinie, tak zdzielił, zebyś me ruski miesiunc popamiętoł.

— Ino sprobuj, scenioku.

Rzucają się ku sobie zapamiętale.

Zaszamotali się, aż sprzęty w izbie zadygotały.

Drąc na sobie odzież, usiłując powalić jeden drugiego.

Naraz młody wziął się na sposób. Podstawia drużbie nogę i zwalają się razem w dzikiem pasowaniu z łomotem takim, że zadźwięczały szyby u okien.

Dopadają i inni.

Za chwilę widać tylko kupę ciał, dyszących, rzężących, szamocących się.

Kobiety, piszczą, zawodzą, probóją ich rozerwać.

Kudłaty Burek z żałosnym skowytem merda się między nogami zapaśników.

Naraz, pan młody gwałtownym ruchem podważa kolanem gniotącego mu piersi drużbę i zrywa się na równe nogi.

Runęli ku sobie na nowo zażarci, rozszaleli.

Walą na oślep, nie patrząc gdzie, a jednocześnie razy odbijają się od głów i twarzy głucho, jak cepy od klepiska.

Ciotka zupełnie straciła głowę, tylko kumie przyszła myśl szęściwa.

Przypadła do śpiącego wciąż z głową na stole stryjka i poczęła nim potrząsać z całej siły.

Zerwał się, jak z ognia, wodząc nieprzytomnemi jeszcze, zapuchłemi od twardego „śpiku“ oczyma ze zdziwieniem.

Nie namyślając się długo, rzucił się między walczących, rozpychając ich kułakami we dwie strony.

Kułak, a bardziej jeszcze powaga stryjka, podziałały piorunująco. Odstąpili od siebie pokorni, zawstydzeni.

A tu dzień biały zagląda natarczywie, wołając do taczki.

Przepili jeszcze do siebie na zgodę, a potem porozchodzili się każdy w swoją stronę.

„W REKRUTY“

(AKWATYNTA).

Oj łączko, łączko zielona,
A kto ciebie będzie kosił,
Gdy ja będę szablę nosił
Oj łączko!...

Zakotłowało się na cichej zazwyczaj stacyi, zaroiło od tłumu różnorodnego. Ten w sukmanie, drugi w marynarce, ów oberwany, z wydartymi u kapoty łokciami; inny ogarnięty, wystrojony nawet, z tombakową szpilką w czerwonym krawacie; młode matki z niemowlętami u piersi; starcy i staruchy, ze smutnemi wypłakanemi oczami.

Wszystko to, podniecone niepokojem, osępniałe troską.

Większość na przegiętych plecach dźwiga

tobołek z trochą bielizny, kołaczem, krajanką sera.

Na świecie już biało, ale słońca jeszcze nie widać.

Stadko gołębi żerując, szarzeje ruchomemi plamami na żółtym tle plantu kolejowego.

Złowrogo, a coraz bliżej, błyskają krwawe ślepia lokomotywy.

Jak gdyby skradając się, sunie w skrętach wężowych giętkie cielsko wagonów, olbrzymie płuca wyrzucają świst przeciągły.

Ziemia zadygotała. Staje.

Szary tłum drgnął. Kto z tobołkiem ciśnie się, rozpycha, byle dopaść okienka, choć chwilę jeszcze popatrzeć na swoich.

Ci co pozostali, podnoszą ku nim wzrok bolesny, rozpaczliwy.

„A pamiętajcież ojciec w razie czego dać na mszę świętą do pocieszenia“.

„Moja ty pociecho! Moje ty kochanie!

„Adyć nie zawodź tak, Hanka, kiejby po umarłym“.

„Ostawajcie z Bogiem“!

„A pamiętaj przyślij rychło pisanie“.

„Gotowe“!...

Dojmujący świst wwierca się, w rozdrgane żałością serca.

„Ostaniesz że mi wierna Jóżka“?

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, ament".

Czapki idą w górę, z setek piersi tych w dole i tych tam u góry wybiega łzami nabrzmiałe, bezmyślne hurra!

Powolny tupot kół przechodzi w szybsze tempo.

Chwilę jeszcze majaczeją niewyraźnie i ot —zasunęli się już w sine mgły.

. . . .

Ciężko poopadali obok siebie na twarde, brudne ławy, obcy sobie, a blizcy, jedna rodzina — nieszczęśliwców.

Chyżo mkną nikłe obrazy oprawne w ramy okienek: lasy wsie, przylaski, poręby i znowu wsie. Druty telegraficzne brzęczą cichym, tajemniczym jakimś szeptem.

Co też niesie ich pogwar drżący? Ból czy radość?

Pociąg dygoce, jęczy, wre, wyje pieśnią pijacką, kipi sztucznym „Galgenhumorem".

Z tobołków wysuwają się monopolki; na pohybel złej doli!

Jakiś doszczętnie już pijany, przyczepił się do konwojującego sołdata. Czapka ze zlanego potem czoła zsunęła mu się na sam tył głowy. Sznurek lepkiej śliny spływa jedną

stroną wykrzywionych paralitycznie ust na robotniczą bluzę.

„A co bratiec, adju nasza ziemia, adju matka. Pół roku i jeszcze pół roku i jeszcze pół“.....

. . . .

Nad małą, zapadłą mieściną, unosi się istny szał pijacki.

Kłębi się nad głowami, płynie cuchnącymi ściekami, rozdziera powietrze krzykiem bezmyślnym, zwierzęcym, pieśnią o nucie skocznej niby, a tak smutnej, jak nieszczęście samo.

Szary dzień jesienny zawisł wilgotną płachtą nad brudnemi, stłoczonemi domostwami. Wązkie zaułki, zakręty, przesmyki, nigdzie perspektywy. Zda się płucom tu brak powietrza, oku—nieba.

Tylko u wylotu ku szosie dom „pana naczalnika“ w ogródku z werandą, wygodny, obszerny.

Podobno pan naczelnik przyszedł tu chudy jak tyka, w wykręconych butach, ale za to teraz „figura“, pan całą gębą; mundur mu się dopiąć nie chce na wypasionym brzuszku a i „domik sława Bohu jest’ i córki jest’, śpiewające i grające na „rojale“.

Ależ bo też pan naczelnik to człowiek

grzeczny, przychylny, usłużny. „Chłamu"" „swołoczy" co prawda na oczy nie puszcza, ale niechby tylko kto z lepszej „sfery", to może być pewien, że *jak się da*, to się zrobi.

Poza tą zaciszną,' dostatnią oazą, — ni drzewka, ni krzaczka.

Gdzieniegdzie tylko chwastu kępka w wyschłym ścieku bezużytecznym wystrzeliła pędem.

Czy tu natura poskąpiła zieleni, czy leniwa ręka ludzka wyhodować jej nie potrafiła?

Cisza martwa.

Raz tylko do roku rozbudza ją nędza człowiecza. Wszystkie tedy zajazdy zapchane.

Nawet tak zwana cukiernia, przypominająca raczej wszystko, niż cukiernię, kilku ma naraz amatorów na swój paradny pokój, wybrańcom tylko oddawany.

Maleńka zatęchła klitka, oklejona żółtym papierem w różowe róże, z widokiem na główną niby ulicę, a w rzeczywistości cuchnący zaułek, wydaje się cichą jakąś przystanią, pośród wrącego naokół zamętu.

Za oknami, przez całą długość domu, ciągnie się nie schnąca nigdy, zieloną pleśnią pokryta kałuża, której grzązkie błoto na

wszystkie strony rozpryskują człapiące po niej furmanki.

Stare, jesionowe meble, prawdziwie pamiętające Sasa, z pod wykrochmalonych pokrowców zieją odorem myszy.

Przed zielonym repsem pokrytą kanapą stół z klapami, chybocący się na jednej nodze pośrodku, nad nią lustro, z matową, jakby parą zaszłą szybą.

Na komodzie, pokrytej szydełkową serwetą w „gwiazdki z pajączkami“ wtłoczona w patarafkę z włóczkowym „barankiem“ lampa olejowa, mosiężne lichtarzyki z wystrzyżonemi z różowej bibułki profitkami, kilka muszli, para kolorowych szklaneczek. Nad komodą poczerniały obrazek, w złotej niegdyś ramie, tem ciekawszy, że się śmiał zachować tuż, pod bokiem „naczalstwa“.

Oto z pocztu ułanów wysuwa się naprzód dziarski młodzian w czerwonej rogatywce na jasnych kędziorach i zastępuje pięknym bułankiem drogę wiejskiej dziewczynie z dzbankiem malin na głowie. Pod spodem naiwny napis:

Ułan: Halino kochana, kto ciebie dostanie?

Zosia: Aj, nikt nie dostanie, mój cacany panie.

Ułan: A toż znów dlaczego?

Zosia: Bo już mam swojego.

Dusza odbiega hen, w dal zamierzchłą, do tej bujnej młodzi, co to pod rogatywką tyle nieziszczonych, złotych marzeń chowała.

W pokoiku duszno, cicho, a tam za oknem, fala ludzka wciąż płynie, a płynie, boleśnie rozśpiewana.

Domorosły wieszcz przepitym, łzawym głosem improwizuje:

Rekruci, rekruci, każdziutki się smuci,
Jak się nie ma smucić, kiej wi, że nie wróci.

A drugi, trzymając kolegę za szyję, stawia nogi jak na lodzie i takimże niepewnym jak i nogi głosem zawodzi:

Matulu kochana, na toś mę chowała,
Żebyś tera między obcych w poniewierkę dała?

„Oj łączko, łączko zielona,
„A kto ciebie będzie kosił,
„Jak ja będę szablę nosił—
„Oj łączko.

Jakaż to siła, łez ludzkich nie syta, wydziera matkom synów, żonom mężów, osieroca niemowlęta?

. . . .

Przed czerwonym, piętrowym budynkiem, najwięcej „losowników“ i ich blizkich.

Jednaka dola zbiła w kupę i tę zmizerowaną kobietę, której jedynak poszedł z pierwszą partyą, a ona tu przyszła bez ciekawość przyjrzeć się biedzie drugich, i tę wiejską babę w kraśnej zapasce, co się pociesza, że „dyć jak wysłuży—to wróci“, i tego starego łaciarza złamanego we dwoje, z krwawą obwódką u przegryzionych ślepieniem powiek, które bezustannie wyciera zatabaczoną szmatą, a za grzech sobie ma sarkanie, i tę opuchłą od płaczu śledziarkę z przekręconą na bok, wyrudziałą peruką, w fartuchu aż sztywnym, tak wyświchtanym śledziowym lagrem.

Stoją wszyscy jak gdyby wrośli w oślizgłą, rozmiękłą ziemią.

Drobny, dokuczliwy deszczyk siecze cieniutkiemi szpilkami po twarzach żółtych od niewczasu i wraz ze łzami ścieka do ust otwartych oczekiwaniem i nadzieją i strachem.

Od czasu do czasu, drzwi sali superrewizyjnej, niby zapadające wieko trumny stukną głucho, a wtedy na czarnych skrzydłach rozpaczy, a rzadziej na jasnych uciechy, wybiega wieść wyczekiwana.

„Biały“.

Wypasiony, uśmiechnięty fircyk wychodzi utykając.

„A co, kalika cholera, za twój pot ma „biały“, a ty brachu—czy zdrów, czy chory, idź, służ za niego.

„Ha, tak nam już snać pisane.

„Co to pisane? co ma być pisane?—wpada z pasyą śledziarka. „Nic nie pisane, ino dla biednego żydka nima nijakiej sprawiedliwości, łońskiego roku Lejbka, znaliście przecież, że ma iść, to jak ta matka zaczena ręce łamać pokazować, jaką on ma pierś wpadniętą, to jak naczelnik krzyknął: „wsie jewrei godny“, to my myśleli wszystkie, że padniem ze strachu, a zaraz potem to z „prisutstwia„ wyszedł taki sam kalika jak i ten, a też „jewrej“. Takie psubraty!

„Abo to tylko wam taki los moi złoci: my wszystkie godne, czy żydy, czy krześcijany. Wiadomo—biednemu zawdy wiater w oczy wieje.

„Józek, to ci wszedł do cala pijany, żałość za matką tak go ozebrała. Pewnikiem tam chudzina zamrze przez niego. Sobacza dola!

„Nie urągajta dzieci. Panjezus nie przez miłosierdzia, pójdzie który, wysłuży ta i wróci.

„Adyć wróci, wróci. Ino ze jednemu bez

ten cas kostucha sprzątnie ojców, drugiemu żona i dziecko z głodu zdechną, a on sam jaki wróci? Nie ten co poszedł; pacierza nawet swojskiego zapomni. Tak jak Franek; już miał wysłużyć, a tymczasem posłali ci go na „Kawkaz“ na „usmirenje“! Tatary pociąg przewróciły, jak mu nogę przytłukło, ta i ma jom zepsutom, w ręcach nima siły nijakiej z wojska nic nie dostaje, ino z tego żyje, co użebrze, a wygląda jak dziad urodzony. To ci wysłużył.

„Tak wróci, jak i mój Stacho wraca, mówi chlipiąc i ucierając nos fartuchem ta, której syn poszedł z pierwszą partyą: „Ostatni grosz ofiarowałam do Przemienienia“, w podszewkę do kubraka wszyła mu na szczęście żywego, czarnego pająka wraz z sieciom, mentryke miał jak należy, ino ze ta jakiegoś jedynactwa brakło, no i co? wyciungnoł kiepski „los“ i jak poszed tak też te bidne oczyska wypłakuję, choć za pisaniem; ani słychu, pewnikiem ta gdzie przepad po drodze, choć furt gadali, że jak jedynak, to go wrócom.

Łaciarz splunął przed siebie.

„Oj, nie grzeszylibyśta moje ludzie, to jeszcze złoto teraz. Wy to tam tego nie baczycie, ale dawniej, jak tych „losów“ nie by-

ło, oj to to było zycie! Wej mir! Przyjdzie „branka“ (takie dawniejsze branie do wojska) to jak gdzie byli młode ludzie, to uni się po strychach, po piwnicach chowali. Drugi raz taki, to un bez jadła, bez napoju, w śmiertelnym strachu tydzień i dłużej tak się poniewierał. Aż tu od razu jakiś gałgun, żeby jego Pan Bóg skarał, zrobi „donos“. Przyjdą nocą jak po zbrodniarza, dom kozakami obstawiają, a jak zacznom przewracać wszystko do góry nogami, a jeszcze nahajkami tłuc, tak też chapną chłopoka, co un jeszcze lat ni miał, co un nosa za ojcowom chałupe nie wysadził. O świecie, to un tyle wiedział bidak, co w naszych świętych księgach stoi. Wzięli to to, popędzili na Kawkaz, na Sybir, jedyny Bóg wie gdzie i to na 25 lat. Czasem taki to un kawałka koszernego jedzenia na oczy nie zobaczył. Nu, a jak już tam nawet swoje kości nie złożył, to un i tak ni miał po co wracać jak ino na kirkut pacierz zmówić za swoich. To już przecież, moje ludzie, lepsze te „losy“.

„Oj dobre belo tamto, dobre i to. Psiamać! najlepiej, to już cheba naszemu bratu wcale się na świat nie rodzić.

„Abo i tak zrobić, jak zrobił tej stróżowej Jantek, pamiętacie? Do dnia miał pójść

do losów, tak ci wzion z wieczora, umył się setnie, łeb se wypomadował na glanc, włożył nowom manarkę i wyszed se.

Nie widać go, nie widać, matkę coś tkneno. Idzie na strych, a tu Jantek już štybny, wisi na belce. Takie sobie „losy“ urządził.

„Loboga rety, pirse słysę.

„A juścik. Błogo jesce jak cicho, ale przyjdzie wojna, no; trza było widzieć śwagrowej Karulka, jak ci sed do owej Japonii cy jak jom tam. Chłopok ślicności, rumiany jak jabłuszko, a żywy nikiej skra.

W jaki rok, patrzymy, wlece się bez wieś chłopisko jakieś carne jak cygon. Bez szynel mu gołe cielsko świci, portki na nim w strzępach, na łbie papacha (znata chyba, taki kudłaty kołpak), choć z nieba żywy ogień leci“.

Jezus Marya! Karulek, cy nie Karulek.

A ten ci przychodzi jakiś jakby głupi, papacha na nim jaż się trzęsie od robactwa, a on nic jeno ledwo się przywitał, buch do komina, ściąga z siebie koszule i jak jom zacznie nad ogniem wytrząsać, wszy ci się z niej sypnęły jak groch.

My się jaż za głowe porwały, a on nic, jeno peda, ze tak przywyknął.

„A to ci pieska dola!

„Ady nie co, ino pieska.

„Zielony!

Radość zrywa tuman z mózgu. Do domu! da matki! do matki.

„Wis go, jak to sie ciesy baran. Nie dziś, to za rok go capnom.

„A niech ta. Dobra głodnemu psu i mucha. A może też za rok te losy do cała przepadną.

Jak to Michałkę złe opętało.

Obrazek mazurski.

Wróciły z pogrzebu zziajane, spocone takie, że im jaże kosiula do ciała przylgła.

Tyli bo świat drogi na te mogiłki!

Z powrotem rozzuły się, trzewiki przewiesiły bez ramię, bo to i lżej i obuwia szkoda, a darły co ino przyboś po ścierni na przelaj.

Matce to się ta zawdy cni za dzieciamy, tyli czas chudzioki zaparte w chałupie.

Małe to ta nic, polezy se, mo smocek, abo to raz człowiek śmyrgnie toto w bruzde, niech sie ta grzebie, ino co ten Józik taki okrutnie rozpuscony, zeby co nie daj Boze ognia nie naniecił.

No, ale chwalić Pana Jezusa nic się onym nie psygodziło.

Siadły se na przyzbie pogwarzyć.

Chłopów jescek ani uwidzieć. Juz to zycajnie chłop cy z wesiela, cy z pogrzebu, zawdyk o karcmę zawadzi, nieurada, taka juz onygo natura, wiadomo.

Myślano, ze ta juz kuńca nie bydzie sarudze, a tu dziś słonko psypieka, nikiej psede zniwy, jaze miło na Bozy świat popatrzeć; ino co ta kiej chłopu we łbie, jedna aby gorzałka, da gorzałka.

I rzeczywiście miło na Boży świat popatrzeć.

Szosa spłukana deszczem, przewiana wiatrem, wygląda jak wymyta. Wrony po niej chodzą, to gromadą, to w pojedynkę, a wszystkie takie „spaniale w sobie, niby jakie jelmożne".

W bojarach mętnej wody, stojących jeszcze po ostatnim deszczu, zanurzają czarne łebki, a potem muszczą niemi skrzydła.

Tam dalej na ścierni chyli modrą główkę spóźniony bławatek.

Smutno mu sierocie jednemu.

Nici babiego lata lśnią w słońcu niby srebrna przędza, zwieszają się festonami u drzew, czepiają się, rozwłóczą po suchych badyiach.

Na ugorach, na szczotce ścierniska, tam

gdzie ich gęściej, więcej, to zupełnie jakby bieżąca woda.

Szosą, bokiem, na wodzie wysłanym grochowiną, chłop wiezie małą białą trumienkę. Koła turkocą raźno po zwirze, głupia trumienka raz po raz podskoczy wesoło; ani wie, że za chwilkę młode życie legnie w niej na wieczność.

Już mu tam nie widzieć ani tego słonka szczerego, ani tej bialuchnej przędzy, co to ją Matka Boska swojemi rączynami tak pilnie snuje.

Coraz niżej schodzi kula słoneczna, już za lasem purpurowy tylko jej widać rąbek. Wypełznął skądsiś wiaterek chłodny, zatargał wełniakami, zaskowyczał.

A tam hen, w kościołku, na Anioł Pański dzwonią...

Kobiety kornie schylają głowy, żegnają się pobożnie, a potem dalej przerwaną prowadzą „gadkę".

— Czyśta uwazyli kumciu, ze dopókąd mój nie zek: „satanie, sciungnij kości",—to jom nijak do tromny wpakować ni możno było. Widno i po śmierci złe jeszczek z niej nie wysło.

Iii, nie bajalibyśta po próżnicy, tkoby ta

wierzył, zeby jakie złe mogło w człowieku bez dwa roki siedzieć.

— Moiściewy, łacno wom gadać, bośta nie widzieli, jak to przysło, ino wita tyla, ze bez dwa roki po wsi lotała do cna głupia, ale mnie sie spytajta, com jom znała od dziecka.

— Ano, rozpowidzta kumciu dokumentnie, bo mnie sie to wcale we łbie pomieścić ni moze, zeby tko mug zyć ze złem na wnątrzu.

— Bogać ni moze, ady widzita z Michałkom. Ano było tak: chłopoka porodziła jakby dziś, a na drugi dzień, jak my jej pozwycaju uważyli wódki z miodem, jak wzina pić, to wom sie taka zrobiła galanta, co ino ha! Kolory na niom wybiły, kiej na ten scerny macek w polu, a ocy to wom sie jej świciły, nikiej wilce ślepie.

Wele nich, w drugiej chałupie, siedziała ciotucha*).

Jo ta, Bogiem a prawdą, carów od nij nie widziałam nijakich, ino drugie ludzie pedały, ze znająca różne śtuki beła, a juz co prawda to nie grzech i ja sama wim, ze niechby się ino kaj pokazała, psi zeby ta nalepse, nikomu nic nie powiedzom, a na onom, jak najęte chamajom.

*) czarownica.

— Widzieliśta moje ludzie!

— Jak ci przysła, tak ci tez po somsiedzku psyniesła kasy jaglany uprazony ze spyrkom. Michałka ta, na jagły straśnie pazerna była; jak ci tyj kasy dopadła, tak ci jom tez bez mała zechlała z tygla wszystkom.

W chałupie gwarno było nikiej w pscelnem ulu, a ludzi kupa, kieby na wesielu.

Opowiadali se różni różnie, kuzdy po swojemu, az późno w noc porozchodzili my sie po swoich chałupach.

Nie wysło jescek z pół pocirza, juz tu w chałupie Michałowej ksyk, kieby kogo ze skóry darł.

Myślelim ze gore.

Biezy kuzdy jak tko stał, drugi aby w jednej kosiuli, bo my sie juz wsystkie pokłaść miały, a tu Michał tsyma onom bez siłę, a tu mu się wyrywa biezeć, nie wiada kaj.

Taka w onom wstąpiła moc, ze dwa sielne chłopy ledwo jej mogły uradzić.

Jaz tu naraz, jak bez niom nie nacnie krzyceć!

Drugi to się oześmieje, a jo wam pedam, ze wyraźnie słychać było, jak złe bez niom wołało: A tośme, głupia babo, nie widziała, jakem siedzioł na tsonku od tygla. Zebyś

me była aby ksyzikiem przezegnała, toch se był posed, a tak, to tobie i mnie źle. Cobych se był po ludzkich osiedlach lotał, to tera, na taki gorąc muse z tobom we chałupie siedzić, albo i w pole iść!!

Tak bez niom ksycało, jaze hucało, dyć wsystek naród słysoł.

— Matko Noświntsa! to ci dopiro!

— Jantkowa peda tak, ze cheba tkoś na niom urocnemi ocami wejrzał.

Dalij my z kumciom wziny odcyniać urok: spalilimy kromkę chleba na węgiel, zagotowałymy wrzątku, opuściłymy na niego ćtyry węgiełki.

Zasycało, tsy posły na dno, jeden aby spłynął na wierzch.

Rychtyk urok!

Wzinam tedy, kozałam jej przytrzymać ręce, zeby me bez łeb nie lunęła, oblizałam jej coło, splunęłam na prawom strone tsy razy, oblizałam jescek raz, splunęłam do tseciego razu na lewom stronę, łysina*) słona była nikiej żabi skrzek.

Dycht urocona!

Myślelim, ze jej od tego chyla-tyla ulzy. Bogać!

Przesiedzielim tak na kupie jaze do świ-

*) czoło.

tania, bo to casem bywa, ze o pirsych kurach sie odmieni. Kaj ta!

Kiełbik, człek naucny, doświarcony, raił Michałkowi co duchu biezeć do ksindza, zeby mu cosik na złego poradził...

A ksiudz, jak na onygo nie wsiuńdzie, nie nacnie fukać, dziw, ze go nie zdzielił.

Nas probosc straśnie był nobozny, modlący, cały post na kamieniu sipiał, a jak z ambony odprawiał, to sie ludziom łzy z oców ciurkiem jak groch loły, ino straśnie nogły i niecierpliwy.

Sama widziałam roz jak sie chłop u niego spowiadał, zawdyk musioł mu coś pedzić nie tak, bo jak ci go ksiundz nie śmirgnie z kofesjonału, nie nacnie po mordzie walić za usy ciągnąć, chłop ino ślepia wybałusył jak bańki.

Bywajom ksindze takie gorącki.

Kiej u dobrodzieja nie było na złygo rady, pocął mój Michał z onom po owcorzach jeździć.

Co sie ta z niom nie umencył, nie na tracił, ba to tsa wam wiedzieć, gospodarze były nie belejąkie: i chułupe miały własnom, i gronta jak sie patrzy, i gadzine wszelakom.

A przyodziewek jaki godny: kiecki pasiate, zopaski, wełnioki, jeno sie w ocach mi-

niały. Samych kosiul całkowitych, bez nodołków, coś ze seść.

Za jednom aby chustke lo nij doł pięć rubli, złotych tsy i grosy pietnaście; a bez te jei choróbsko skapiały do cna...

Jeździ chudziok Michał z onom, jeździ po guślorzach, po owcorzach, bo to wiadomo, ze na takom chorość dochtory nic nie znacom.

Raiły mu różnie.

Jeden owcorz jom bez głowę świnconom wodom pokropił, i kożał z niom w samo pełdnie **) po miedzach chodzić głowaca sukać.

Ciąga się z niom Michał po onych miedzach, ciąga bez dzień, bez dwa; słońce dziw im łbów nie spali, a tu zlepszenia nijakiego, jescek gorsa głupia.

Jaze natrofił na guślorza co mu obiecował, ze onom rychtyk wylikuje. A znalimy go wsyscy z tego, ze ino Kotwince kołtun zamówił, baba sie zara na nogi dźwignena.

— Dyć pamiętam kumciu.

— Dał mu tez ony guślorz wrońca, kazał mu z niom razem na polepie na środku izby sieść, i onygo wrońca pod pokrywom gotować jaz ściemnieje, ino kuniecnie psy

**) południe.

lipowem drzewie, bo sie złe okrutnie lipiny boi.

Tylo mu zapowiedział, zeby na duch drzwi i okna pozapierał, zeby casem ciotucha na gornek nie pojrzała.

Psydygował Michał sielne narąco lipiny i siadły se oba z onom na środku, one leki warzyć.

Siedzom tak z dobry pącierz i onom warzę warzą, az tu naraz Michałka jak nie wrzaśnie, jaze sie chłop na równe nogi porwał.

„Ady wsystko na nic, cośik wele okna migneno, to pewnikiem ciotucha na garnek najrzała.

Michał nic nie widzioł, ino onej Ponjezus tak doł, ze uwidziała.

Przestały tedy warzyć onygo wrońca, likowanie psepadło, a jom jak tsymało, tak tsyma.

Biezy tedy Michał do guślorza i mówi mu, ze tak a tak sie stało, a ten mu peda; jo wom ta nie krzyw, moi złoci, ale juz wom tak te wasom ciotuche spozundze, ze me bez ruski miesiunc popamięta, ino mi psynieście dwa śrybne ruble, zawinięte w kawałek smaty ze zmerlaka.

— Widzieliśta moje ludzie! No i psyniósł?

— Co nimioł psynieść? ady psyniósł. Cekajom bez dziń, bez dwa, co to dali będzie... Rychtycek, idzie ona ciotucha w niedzielę bez wieś. Ksynę juz ta musi we łbie i miała, a tu jak raz guślorz nasłał na niom dwa niemcyki *), ino tak zrobił, ze ich zoden nie widzioł, nikogo się tez nie cypiały, ino onom jak nie rżnom o zimię, az jej ta cosik w nodze tsasło.

Dopiro ksyceć w niebogłosy: o lo Boga! lo Boga!

Do dom jom takom krzycącom psyniesły, na pościeli ułozyły i dopiru jei krewnioki znowu w te pędy do guślorza.

Jak ci przysed, nogę jei wyciungnoł, rozchodnikiem wysmarował, smatami obłozył, tak też jei chyla-tyla ulzyło.

Lezała ta, lezała, coś cheba bez miesiunc libo i bez dwa. Potem wom wstajała, ino, ze ciągiem na tom nogę kalikowała.

Ta i co z tego? Choć jej guślorz tak zrobił, juz beło i tak zapóźno; Michałka jaka beła głupia, taka i ostała.

---

*) Dyabliki.

Ksyceć, to ta bez niom i nie ksycało wielce, moze jei tamuj i ulzyło colek, ino ze cięgiem chodziła jak kołowata. Jodła to ci casem bez cały dziń nie tknena, a niechby ino psy niej spomnąć Pana Jezusa lub Noświntsom Paninkę, jak niom nie nacnie trząść, dziw jom nie ozerwie.

Owcorz mowił, ze to w nij chorości nimo nijakiej, ino ze błąd mo w głowie.

No i widać, ze i po śmierci złe jescek w nij siedziało, kiej dopukąd mój nie zazegnał satana, nijak do tromny weńść nie chciała.

— Bójta się Boga kumciu, zebyśta mi nie beli tak dokumentnie wyłozyli, nigdybych nie uwiezyla, zeby człowiek mug bez dwa roki chodzić po świecie ze złem na wnątrzu. Dziwy, dziwy! To zawdy wielga rzec to zażegnowanie.

Mrok. Jedną stroną kula słoneczna zsunęła się za drzewa, drugą księżyc wielki, biały, wychylił twarz swoją senną.

Szary tuman owija świat, słania się po ścierni, po ugorach, wspina na starą gruszę przed chałupą.

Zdala dochodzi wesoły rechot żat, a bli-

żej pijane: oj dana, dana! wracających chłopów.

— Lo Boga! Na gadce tyla casu zesło, a tu jescek zimnioki na wiecerz nie uskrobane, ady nawet statki od wcoraj nie pomyte. Rety! nie wiada, kaj wprzódź rece wrazić.

Gdzież jest radość, gdzie ostoja na burzliwym świecie?

„Ślepa, na przydrożu przykucnięta Dola śmieje się dzikim śmiechem.”

Pięć godzin czekania na stacyi.

Bezsłoneczny, ponury dzień zimowy, rozpiął nad sobą zagadkowy namiot szarego nieba, zwisający ciężko nad głową, niby niema groźba nieszczęścia.

Spotniałe szyby zatęchłej izby stacyjnej przysłania, od chwili do chwili, siwy szmat dymu.

Wiatr północny, żałosne zawodząc jęki, szmat taki poszarpanymi rozgania strzępami. Jedne wzbija przejrzystym słupem skłębionych obłoków ku górze, inne wlecze brudnym łachmanem po ziemi nizko, po szkli-

stych od mrozu szynach, po plancie obmarzłą błyszczącym skorupą, po wale zszarzałego śniegu, gdzieniegdzie tylko błyszczącego oślepiającą plamą niezbrudzonej swej bieli.

A tam, hen, daleko, szyny zwężoną linią zbiegają się z horyzontem.

Smutno, pusto, żadnego odgłosu.

Wicher tylko, niby puszczyk złowrogi, wciąż pohukuje żałośnie, a w jęki jego bolesne wpadają raz po raz urywane poświsty lokomotywy, podobne smętnym „czuuwaj" dusz pokutujących.

Cicho...

Tylko trącona wichrem wierzba za oknem bezlistną załopoce gałęzią, czarna, smutna, zadumana.

Tylko wrona się z niej porwie i poleci z krakaniem złowrogiem, niby z czarną wieścią.

* * *

I przychodzi mi na pamięć inny, mroczny poranek zimowy.

Wagony przepełnione; podróż trwa już dnie i noce, a trwać ma jeszcze noc i kawał dnia.

Takie wspólne wdychanie powietrza przez czas dłuższy w zamkniętej przestrzeni czte-

rech ścian wagonu już samo przez się wytwarza jakiś fluid sympatyczny, tem więcej, jeśli towarzyszami podróży są towarzysze złej doli.

Pod wieczór szczególniej, zapalone światła, ciepła atmosfera usposabiają do gawędy:

— Za co? Jak dawno? Skąd? Z katorgi, czy z zesłania?

Różnie wracają:

Jeden niesie do kraju duszę poszarpaną i ciało zmożone. Inny, przy posiwiałej przedwcześnie głowie, ciało sprawne i ducha sprężystego, a wszyscy pragną, tęsknią, im bliżej celu, tembardziej podrywani niecierpliwością.

Punktem dośrodkowym ogólnego zajęcia—to dwoje o południowych typach i drobny, wątły, już na północy urodzony sybiraczek.

Skutych ogniwami kajdan skuła później na wieczność wspólna dola i miłość — jak śmierć silna.

Po latach męki i tęsknot serdecznych wracają do kraju, do swoich.

Malec rwie się niecierpliwie.

— Mateńko, długo jeszcze?

— Niedługo już, synku, niedługo.

— Mata, przykrzy mi się, graj ze mną w piłkę.

— Miejsca mało, kochanie.

— To daj, będę rysował. Albo opowiedz mi coś.

— Był sobie raz mały nudziarz...

— Eee, daj, będę oglądał fotografie... Mata, a czemu babcia ma takie dziwne włosy?

— Białe, dziecinko.

— A czemu białe?

— Bo dawno żyje, dużo wycierpiała.

— A co będzie, jak babcia mnie nie pozna?

— Pozna, kochanie, pozna.

— A jak pozna, kiedy mię nie zna?

— Pozna sercem.

— A jak się to poznaje sercem?

I zwyczajem dzieci, nie czekając odpowiedzi:

— Mateniu, tak długo; przykrzy mi się. Po co ten ojczulek śpi...

— Zobacz, synku, jakie ładne iskierki, widzisz, jak gwiazdki.

— E, to już i ja wolę spać, to będzie prędzej, połóż mię przy ojczulku.

Matka układa pled, poduszeczkę, otula chłopca.

— Mata, połóż przy mnie niedźwiedzia.

Ułożył zabawkę tuż przy twarzy i za chwilę zasnął.

Oczy kobiety wpatrzone uparcie w dal, w próżnię, jakby przebić usiłowały odległość. Staruszka droga! Jak tam drżeć musi to biedne serce, co tyle już przeniosło ciosów, a tak mało zaznało radości.

O, żebyż już jaknajprędzej! Tyle lat!

Pociąg mknie szybko.

Śnieg leci grubemi płatami.

Biała kurzawa stroi szyby w fantastyczne, roziskrzone arabeski.

Olbrzymie cielsko lokomotywy, prychając i sapiąc, jak potwór złowrogi, przecina ciemnię.

Długi welon sinawej pary ciągnie jego śladem.

Snopy iskier, niby skrzydlaty rój spłoszonych motyli złocistych, rwie się w przestwory.

Powietrze wagonu zgęszczone ciepłem kaloryferu, wyziewem oddechów ludzkich, staje się niemożliwie ciężkie; głowy pochyla znużenie, na powiekach sen osiada.

Po krótkiej chwili wagon zalega cisza,

słychać tylko miarowe oddechy lub chrapanie śpiących.

* * *

Poranek budzi się szary, mglisty.

Śnieg ustał, spowinąwszy białym całunem, jakby na sen wieczny, zmartwiałą przyrodę.

Z poza chmur blady, senny, wyziera mdły rąbek światła, skąpiąc ożywczego uśmiechu zaklętej w bryłę śniegu ziemi.

Wiatr rozwłóczy mgły brudne, ciężkie.

Jedne, szare jak smutek, czepia u drzew wierzchołków, inne siwem runem ciągnie po ziemi tak, że piersią skłębioną do śnieżnej przypadają bieli.

Krajobraz płaski, pusty; nigdzie oko na ludzkiej nie spocznie siedzibie.

Nad głową strop ciężki, ołowiany, pod stopami jednostajna, nużąca biel śniegu.

* * *

Wagon śpi ciągle.

Anioł spoczynku wypogodził czoła, rozpromienił twarze.

Młoda podróżna śni ciężko.

Na dworze zimno, tem zimnem północy, co oddech lodem ścina w piersiach.

Ziemia stratowana mrozem, leży posępna, smutna, jak dola sieroca.

Po przez gęsty tłum zmartwiałych postaci, ściętych w słupy lodowe, przedziera się biały mocarz.

Pędzi wprost ku niej, dzwoniąc soplami, zwieszonymi niby dzwoneczki szklane u skraju jego szaty.

To się przyczai, przystanie, to znów biegnie pędem.

Rozpuścił kitel swój biały szeroko, usiłując ją omotać lśniącymi jego zwojami.

Już jest tuż, tuż.

Ona chce biedz, uciekać, ale nogi bose grzęzną w śniegu. Chce wołać pomocy, ale śnieżyca zasypuje jej oczy, usta, głosu wydobyć nie daje.

Białe, zimne światło, co od niego bije, kładzie się wpoprzek jej drogi.

O, nareszcie! nareszcie! pozostał za nią daleko, a ona, jak ptak z pęt uwolniony, leci do ciepła, do słońca.

I coraz dalej w tyle biały, zimny olbrzym... coraz bliżej kąt rodzinny, słoneczny, serdeczny.

Nagle, w ogólną ciszę wpada krzyk dziecka, taki szalony, taki dojmujący, iż w sercu

każdego z obecnych odbija się jakby echem pękniętej we własnej piersi struny.

Ojczulku!!!

Śmiertelnym strachem zdjęta kobieta zrywa się, biegnie do męża, rozszarpuje odzież na dyszących piersiach, usiłuje dźwignąć mdlejącego.

Napróżno! Bezwładne ciało własnym załamuje się ciężarem.

To nie zemdlenie — to skradająca się, milczkiem, śmierć przyszła nielitościwa wziąć w moc swoją, stargane kazamatami, dobite katorgą serce...

Pociąg mknie w pustym polu. W wagonie ani łyka wody, ani eteru kropelki.

Spojrzenie gasnących oczu obejmuje ją i dziecko bezmiarem miłości, oniemiałe usta silą się na uśmiech, bełkocąc słowa ostatniego pożegnania...

Praca serca coraz wolnieje — spazm jeden—i wszystko skończone.

*
* *

Żywe uplastycznienie niemej rozpaczy, kobieta zakrywa porozrywaną na piersiach koszulę, opiera na sobie drogą, martwą głowę.

Taż to głowa, której przed niedawną

jeszcze chwilą troską i weselem była, taką bezwiedną, martwą bryłą ciąży na jej ramieniu?

Taż głowa?

To chyba tylko sen taki okropny.

Niepodobna przecież, aby jedna czarna chwila pochłonąć miała bezpowrotnie i miłość i szczęście i nadzieję; wszystko! wszystko!

Cisza jak w kościele...

To dla niej...

To z niej taki „wielki duch boleści.“

Słychać, zda się, szelest skrzydeł odlatującego anioła zagłady.

Tylko wagon swym turkotem takie grobowe wygrywa melodye.

Oh ten tik-tak bezustanny.

Szrubą jakąś tępą wpija jej się w każdy nerw, w mózg, i wierci i żyje—a tak boli!

Chciałaby uciec stąd, biedz gdzieś daleko przed siebie, piersią krwawiącą przypaść do tej ziemi bezlitosnej, co tylko czyha, żeby jej dobro w zimnem swem zamknąć łonie.

Tak jej potrzeba tarzać się i wyć i ryczeć!

Kamieniom przydrożnym wykrzyczeć to nagłe, to okropne sieroctwo swoje, a tu wlepione w nią z tak bolesnem, uporczywem

pytaniem dwoje oczął rozszerzonych grozą, a tu tyle ócz obcych, ciekawych.

Głęboko skryć trzeba sępa rozpaczy.

Niech cicho rwie ostrym swym szponem krwią ociekłe serce, łzami stężałemi nabrzmiałe.

Jak ono dziwnie w rozbitej kołace piersi! A jak doskonale uciszyłoby się pod kołami parowozu!

Śmierć! jedyne pożądane rozwiązanie nędznej zagadki bytu.

Życie!

Precz z jego fałszywym rachunkiem!

Skończona długa, upiorna noc katorgi, wygnania, jasne lśnienie nadziei, opadły dyby! pierzchły potępieńcze myśli! Aż oto nagle, z promiennego blaskami radości nieba, wypada skrytobójczo czarny grom nieszczęścia. On odszedł, a przed nią taki jeszcze długi może gościniec męki serdecznej i walki i cierpień. Tak chętnie zaśnie, spocznie na wieki...

Ale nie... jej umierać nie wolno... Dziecko! Trzeba biedactwu temu, zaskoczonemu u progu życia takiem ogromem nieszczęścia, być i ojcem i matką.

Chwilami zdaje jej się, że nie cierpi wca-

le. Jakieś omdlenie moralne bierze w moc swoją i myśl i czucie.

Jak też to dawno, kiedy rzucała świat obcy, żeby powrócić do swoich?

Chwila to—czy wieczność?

Mózg ma taki pusty.

Dusza wyje w piersi, jak pies, co zgubił swego pana...

Wraz z opartym o siebie ciężarem zapada w jakieś niezmierzone głębie, coraz niżej, niżej—oczom ciemno, piersi duszno, jakieś czarne kiry...

* * *

Pociąg sunie ciągle, nieubłagany jak przeznaczenie, unosząc w swych skrętach wężowych łańcuch istnień ludzkich, z którego tylko co jedno wyłamało się ogniwo.

Dopada nareszcie do stacyi.

Nieszczęsny wagon odczepiają — pomoc przychodzi zapóźno.

Pietrek.

(Obrazek z warszawskiego bruku).

Obszerny placyk: ni to kwadrat, ni półkole, ni trojkąt: coś niepewnego, poszarpanego.

Na prawo ciężki, przysadzisty fronton pałacu „Mostowskich"; wprost—odrapany, jednopiętrowy budynek, ciągnący się w całą długość wązkiego, brudnym ściekiem odgrodzonego trotuaru. Za węgłem na lewo wązka szyja mrocznej, tajemniczej, cuchnącej „Mylnej."

Placyk ów, wiecznie, przy najpiękniejszej nawet pogodzie zapłynięty kałużą ściekającą od wodociągów, który wyłącznie prawie służy dla postoju dorożek, dziś pławi się literalnie w powodzi błota.

Ponury, listopadowy dzień siejący dro-

bnym deszczykiem, nieznośnem czyni wyczekiwanie na dorożkę.

Nieznośnem przez kwadrans najwyżej.

A ileż to istot skazanych mięknąć po całych dniach na słocie i chłodzie, ażeby zdobyć marny kęs suchego chleba, dwugroszniak na wiązkę drzewa do wilgotnej izby.

Ciężko pomyśleć.

Tem ciężej, o ile takim wydziedziczonym jest dziecko.

Obok stróża, pojącego konie, przywarty plecami do wodociągu, stoi dziesięcioletni najwyżej chłopczyna.

Jakaś nieokreślonego koloru i kroju kacafajka, coś jakby kaftan kobiecy strzępami swemi ledwo okrywa dygocące od chłodu ciało. Z butów, o połowę za dużych, biegnących gdzieś ku piętom, wielki palec wygląda ciekawie, czupryna przylgnęła kosmykami do chłostanego wiatrem i deszczem czoła, z pod którego para mętnych oczu patrzy na świat z jakimś niemym wyrzutem, z jakąś bolesną skargą psa zgonionego.

Oczu tych nie zapomnę nigdy.

Niepodobna było nie zagadnąć dostatnio względnie odzianego stróża:

— Jakżeż macie sumienie pozwolić swemu chłopcu tak ziębnąć?

— To nie mój, proszę łaski pana, to przybłęda...

Wtem z za węgla „Mylnej“ rozległo się wołanie:

— Pietreek! Pietreek!

Chłopak jakby się rozbudził z odrętwienia, począł po dorożkarsku tłuc dłońmi o ramiona.

— Pietreek! Pietreek!

Odlepił się od wodociągu i poczłapał w stronę „Mylnej.“

— Pietrek!

— Cegój?

Naraz, jak z pod ziemi, wysunęła się ze wszech stron gromada chłopaków.

— Pietrek, chcesz bułkę?

— A ino...

— Naści.

I mali psotnicy, rzuciwszy się ku biedakowi, poczęli go odrzucać sobie, jak piłkę, ciągnąć za długie rękawy, przydeptywać buty, znęcać się nad nim z właściwem dzieciom bezmyślnem okrucieństwem.

Krzyk, wrzawa, świst, istny sąd wróbli.

Za mojem zbliżeniem gromadka pierzchła w różne strony.

Zabrałem Pietrka do domu.

Z początku milczał uparcie.

Napoiłem go gorącą herbatą, usadziłem przy ciepłym piecu.

Szara twarzyczka nabrała ludzkiego koloru, skulone członki rozpostarły się, nabrał swady.

— Jak się nazywasz?

— Pietrek.

— A na nazwisko?

— Dyć Pietrek.

— Ojca masz?

— Miołem, ale nimom.

— A któż cię wychował?

— A to ojcowa zuna, com na niom wołał macocha, ino kiej ociec pomarł, to mi zakazali tak na siebie wołać i wygnali prec.

— A gdzież ty mieszkasz?

— A nikaj.

— To gdzież sypiasz?

— A gdzie popadnie, casem w piwnicy, casem z Burkiem, na Burkowem posłaniu, a casem to i w senku na „Mylnej.“ Pani ze senku dobra, litościwa, jak posłuzę, to da chleba, drugi raz to i „hycla“ kawałek.

— To głodu nie masz?

— Hale! casem tom taki głodny, ze kamieniabym sie imał. Ta pani ze senku to me lubi, mówi: dobry chłopak, nie weźnie nic.

— A nie weźmiesz naprawdę?

— Ni, bo sie boje.

— Powiedz mi, dlaczego te chłopaki tak ci dokuczają?

— To codziń tak samo, wyśturchają, wypotyrają.

— To pocóż do nich łazisz?

— A bo casem da który bułkę naprawdę.

— To ty tak bułki lubisz?

— Oj lubię okrutnie. Jak będę bogaty, to se kupię ze seść bułek na raz i zjym wszystkie.

I w błogim uśmiechu błysnął dwoma rzędami łakomych, dziecinnych zębów.

Szukałem Pietrka pod wodociągiem nazajutrz i dni następnych, ale ani tam, ani w szynku na „Mylnej" go nie widziano.

Powiedziano mi tylko, że tak bywa, przepadnie na tydzień, czasem na miesiąc i niewiadomo skąd znów się przylepi do wodociągu, coraz to mizerniejszy i bardziej obdarty.

Krwawy posiew.

Zebrali się w Bet-Hamidraszu gromadą, radzić nad swą czarną dolą:

Starcy w długich, sajetowych szatach, ściśniętych u wychudłych bioder pasem jedwabnym, którym wyraz beznadziejnie wypatrzonych z pod sobolego kołpaka oczu, mleczna, rozwiana broda, pochylone bary, nadają pozór tragicznych, nie z tego świata postaci.

Obok nich młodzieńcy o twarzy szarej, steranej troską, zmiętej ślęczeniem nad foliałami, przedwcześnie do ziemi przygięci.

A we wszystkich tych piersiach, młodych czy starych, serca dygocą takim piekącym żarem nienawiści, taką burzą poczucia krwawej krzywdy!

Spękane, osiedziałe mury, głucho, jak

dzwon cmentarny, odbijają ich skargę bolesną:

„W niewoli żyjemy, ale niewolnikami być nie chcemy!

Ujarzmiono nas w poddaństwo, ale poddanymi nie będziemy nigdy!

Kto równe naszym w duszy nosi ideały, ten niewolnikiem być nie może!

Wolności chcemy!

Ci, co obchodząc z Biblią, z jej pomocą usiłowali dobić się praw ludzkich, wyżebrać prawo wolnego oddechu, robiąc ze Świętego Pisma list polecający, upodlili siebie i Księgę.

Nie płaszczyć się, nie prosić, żądać należało, krzyczeć!

Krzyczeć jednym wielkim głosem: Żyć chcemy! oddychać! pracować na równi z drugimi.

Ptak niebieski i to ma swoje gniazdo, robak i to ma swoją jamkę.

Azaliż jeno typ człowieczy nie miałby gdzie skłonić głowy?

Gdzie siła Twoja Jehowa?!

Gdzie moc i wielkość?!

A jeśliś jest, wysłuchaj!

Zbaw!

Własne życie gotowiśmy każdej chwili ponieść w ofierze.

Jeno dzieci nasze!

Z wyroku tyranów wymordować mają naszych pierworodnych!

Wdziejmy śmiertelne koszule, zabierzmy dzieci i pójdźmy. Pójdźmy pod gołe niebo błagać zmiłowania.

I poszli pod gołe niebo...

A za nimi nieodłączna, bezlitosna, szła smuga bólu i lęku.

Sprężone w śmiertelnej trwodze twarze zwrócili ku wschodowi.

Niby wichrem szarpane drzewiny zakołysały się widmowe ich postacie.

Ruchem wahadłowym chylą je—to przed siebie, to w jedną, to w drugą stronę, jakby się wili w męce.

A od skał i urwisk pustynnych pamiętne ich błaganie odbija się echem trzykrotnem:

Adonaj! wysłuchaj!
Adonaj! zmiłuj się!
Wstrzymaj Twój gniew Jah!
Zniwecz zamiary wrogów!

*

* *

Już czarny tuman kurzawy przysłonił niebo, niby chmura gromowa.

Już słychać tętent.

Za chwilę wydrą kwiat ich życia.

Ręce siepaczy znęcać się będą nad tym drobiazgiem bezradnym.

Rozstąp się raczej ziemio!!

Pokolenia w wieczystym pochodzie znikają, powstają pokolenia, a ty matko ziemio trwasz niezmienna, litościwa—koicielka.

Pochłoń matko-ziemio dzieci nasze, zanimby wpaść miały w ręce wroga!

A wołanie ich rozdarło niebiosy.

I wysłuchała ziemia błagania.

Cicho rozstąpiło się jej łono i w objęciu swem macierzyńskiem utuliła drobne ciałka.

A z nieba gasnącego ostatnie promienie zachodu lunęły strugą krwawą na białe, tragiczne postacie i biel ich rozpaliły czerwienią.

Nadbiegli jeźdzcy stanęli wryci.

Zawrócili z miejsca zdać sprawę tyranom.

A kiedy przyszła wiosna,

i ziemia-rodzicielka znów bujne swe otworzyła łono, oddała stokrotnie krwawy posiew, tak jak oddaje corocznie ręką siewcy rzucone z nadzieją w nią ziarno.

Zwilżona obfitą łez rosą, zapłodniona krwią serdeczną,
zielona ruń pokryła pola,
i z każdego z drobnych serduszek
wystrzeliła tu złotym kłosem pszenicy,
tam ciężką kiścią kukurydzy,
tu zawiązkiem, tam pąkiem.
A między wszystkiem tem kwieciem
najwyżej wybujał purpurowy kwiat Zemsty,
ciemny kielich Odwetu.
I nie zginął krwawy posiew,
jak nie ginie nigdy! nigdy!

Z cyklu: „Bohemia.”

Nie śpisz?
Staraj się zasnąć, kochanie.

*

* *

Drżysz, ogień wygasł.
Czekaj, rozgrzeję ci rączki,
nóżki opatulę.
Wiesz, nasze oba kapelusze słomkowe już na nic.
Zawszeć to da trochę ciepła?
No, teraz cieplej?
Staraj się zasnąć, takaś zmęczona.
Nie idzie?
Tak, przemęczonaś;
nie dziw, dziesięć godzin brzdąkaniny,
a wszystko dla marnego kęsa chleba.
Bodaj to jasne pioruny!

Masz tobie, przestraszyłem cię...
Już zasypiałaś...
Rozbudziłem cię...
Płaczesz?
Znowu byłem gwałtowny.
Nie płacz...
Twój płacz, to taka udręka.

*
* *

Posłuchaj ukochana,
tylko rok jeszcze,
dwa najwyżej—
i skończy się nasza bieda.
Zobaczysz, pójdą wszyscy pod mój sztandar.
Nakładca weźmie mi powieści,
dramat przyjmie mi teatr,
zobaczysz, publiczność ręce sobie z klaskania odbije.
Przybędzie flota,
zostaniemy bogaczami.
Nie będzie już dawania lekcyi,
ani reporterki.
Dopieroż to zacznie się życie!
Zobaczysz!
Wybuduję ci willę,
w górach spędzimy lato,

w sezonie przyjęcia, bale,
cały świat artystyczny się zbiegnie.
„Finansów“ nie zaprosimy,
gwiżdżę na Geldhabów.

*

*   *

Przy Bechsteinowskim fortepianie
siedzisz marząc—
z pod twoich cudnych paluszków
pieśń płynie.
O ciężkiej śpiewa walce,
o doli twardej,
o łzach przelanych,
o tej, przy tem wszystkiem, sumie szczęścia,
o takiej bezmiernej sumie szczęścia... —
Droga, zatęsknimy za przeszłością,
nieprawdaż?

*

*   *

Zasnęła.
Noc późna...
I ja takim senny, wyczerpany...
Takby mi trzeba było spocząć,
łóżko tak ciągnie...
Trudno, jeszcze mam pół sprawozdania...
Żebyż choć ogarek papierosa...

Ani śladu...
Dobrze, że choć woda darmo.
Oh, la tristesse de tout ça!
Ci, co przez dzień cały po świecie
syte brzuchy,
próżniacze obnoszą ręce,
używają wczasu.
A ty, „śpiewaj pajazzo,
bo nie zapłacą.“
Daremnie wołasz do zbójeckiego życia:
jeśli już nic więcej, winnoś mi żarcie!
Głuche na krzyki.

*
* *

A toż co?
Rozpięta na krzyżu dusza
bunt podnosi?
Nie ma czasu na „romanse“;
orka czeka,
ten grosz potrzebny na jutro.

Paryż, wrzesień, 1907.

U L I N A.

— Nie poscęściło się Ulijce z tem miastowem mamceniem.

— Którnej Ulijce?

— Którnej... ady Jantkowej Ulinie.

— Baj baju, co tez wy godacie.

— To, co prawda.

— Lo Boga rety, to się Jantkowa Ulijka juz mamcenia dorobiła?

— Ady nie co.

— Moje ludzie, taka sikora, co to ojcom jescek tyj kasy nie odrobiła, co jom zjadła u nich.

— Ano, spacerowała furt z chłopokami, spacerowała, jaz se wyspacerowała dzieuchę.

— To juz z małości takie było. Jo, to jescek jagem była ot tyli brzdąc za owcami, tom sie juz chyciła lamentarza, a una, to

aby ṡtybna kiecka, aby korole, to sie ta nic nie pyta.

Razem my do ṡkółki chodziły.

Pon naucyciel, jak to pon naucyciel: wiadomo, drugi raz to przesłuchiwali z katechmirza, co wcale w katechmirzówce nie stojało.

Jak tko nie umiał, to mu sie porzunnie po łbie dostało.

Jense dzieci to sie starały, jak mogły; jeno Ulijka nic sobie nie robiła; wzina po gębie, to i wzina.

Ino ze casem pon naucyciel takie kary wymyṡlali, ze skóra ze strachu cierpła.

Abo strasyli dyabłem, abo jescek gorzej.

Drugi raz, to zamknęli nas w kozie i za karę pokozywali takiego jakiegoṡ zmerlaka.

Nie wiada skąd sie to wzieno. Ziobra ci miało na podób cłowieka, ino ze takie suche, co jaz w niem rechotało.

Dzieci ze strachu rycały, rycały, jaz naraz, wybiły sybe i piąciu chłopoków hulnęło bez okno.

A chto z ńiemy? Ulina.

Nazajutrz wsystkie dostały kańciugiem, na pokładankę, co ino wlazło, ale ona choć ubij, zawdy z chłopokamy.

Raz śli my calom gromadom na ślizgawke. Ulijka rozzula się, choć mróz był galanty i dalij z chłopokamy na przegony.

A tu rychtyk popadli pan naucyciel. Na drugi dziń jak wziun okładać: „a wy psie bechury, to wy tak wyprawiacie? Zamiast na spotkanie rzec: „pochwolony“, to wy się po drogach jak te scenioki uganiacie.“

Mnie ta pon naucyciel nie tknęli nigdy, ino jescek nie raz me pokwalili, a z tom Ulijkom to wiecne tarabanienie.

Jak mój ociec pomerli, a matka sie drugi raz ozenili, tak zebrałam swoje manoty i dalij do miasta na słuzbe.

Pościeli nie zabirałam, bo to skoda ciungać z sobą, ino skrzynkę z rzecamy.

I co powita moiściewy, skrzynki mi do kolei nie dali zabrać, ino jom zwozyli, dali mi taki bielet i wio.

Serce mi o skrzynkę dygotało; a co ja pocne, jak jom nie oddadzom.

Jaz tu, jagem wysiadala w Łodzi — mieście, ja patse, a tu jom niesom te mojom skrzynke.

Jescekem jom uwidziała w Pabianicach, a potem juz jaz na miejscu; odebrali mi ten bielet, a oddali skrzynkę.

Ale wita, nitka z nij nie zginena.

Niezgorzej mi ta było na słuzbie, ino po roku poceło mi sie okrutnie cnić; miasto nie lo wsiowych ludzi: ni to pola, ni to łąki, ni to kawałka tyj nasyj carnyj matki-ziemi. Kamienie aby i kamienie. I niebo jakieś inakse.

A za swojemi jak mi sie cniło, powiadam wam.

Furt mi sie skutało.

Spominają, myślę sobie, trza wracać.

Jaz tu w kolei kogo spotykam: Ulijkę. Ledwo zdonzyła na pochwalony odrzec: na wieki wieków, dalej opowiadać o tem swojem mamceniu:

„Pedały ludzie, ze jak pójść w mamki, to niedwabne zycie, do nicego sie nie rusys, jescek ciebie obsłuzom.

Rychtyk prowda, zeby tak pies płakał: wydziwianie, nudy: a to sie kąp, a to se pirsi obmyj. Jo ta tego nie ścierpie.

Pani psy gościach to ci słodka kiej miód ten lipcowy, a we ćtyry ocy jak sie rozeźli, to nikiej suka. Jo tyz ząb za ząb. Una słowo, jo dziesięć.

I jescek ciort ich ta wyrozumie, co za jedne, cy zydy, cy lutry, cy polaki, cy ki dyabeł; bez cały ten cas ani razu do kościoła nie zajrzeli.

Raz jak przysła ta gubernantka, pytam sie jak kogo dobrego: prosę pani, cy ta Francuzka to ona tyz Polka? a ta w śmich, dziw sie nie ozsypie. Jo tyz pedam: co sie pani będzie śmiać jak z jakiej głupiej.

— A boś głupia—mówi.

— A to niech pani nie tsyma głupiej, kiej pani taka mądra.

Kozała mi się zaraz wynosić.

Owa! wielgie rzeczy! wypłacili i jazda.“

Byłaby tak jescek wywodziła Bóg wie jak długo, ale juz trza było wysiadać. Jo se pomyślałam, tkoby ta takiego pyskaca ścierpiał, ady ledwie to od zimi odrosła, juz potrafiła gębę ozewrzeć nikiej stodolne wrota.

— No i co taka dzieucha tero pocnie?

— A co? to co i druga: dziecioka ostawi u ojców, a sama się wyda za chłopa i tyla; abo to jedna tak zrobi.

Na rozdrożu.

Dnia jednego, wczesnym rankiem, stanęła u klasztornej furty.

W chwili ciężkiej rozpaczy rzuciła niedobry świat i przybiegła w murach tych skryć serce zawiedzione.

Jak zwierz ranny dopada legowiska.

Nie chce za nic żyć w świecie, gdzie fałsz i obłuda zmroziły pierwszy kwiat jej ufnego serca.

Nie chce, za nic.

Wślad za nią podążyły listy od rodziny, prośby powrotu, nalegania.

Głucha na wszystko.

Postanowienie jej—niezłomne.

Mężnie też podejmuje ciężkie zadanie nowicyuszki.

O świcie pierwsza biegnie do klasztornego dzwonu budzić zakonnice.

Niezadługo znowuż ciężki dzwon drobną rozkołysany dłonią, do rannych wzywa pacierzy.

Uczy się gorliwie łaciny, chętnie wdraża we wszystkie zwyczaje zakonu.

Cztery lata nowicyatu... one jej nie zrażają wcale.

Zbyteczne nawet, że przełożona przypomina ciągle do jak ciężkiej, nieodwołalnej chwili zbliża ją dzień każdy.

Tem lepiej, że nierozerwalnym węzłem przykuwa jej życie do tych murów, z których później nie ma wyjścia.

Tem lepiej.

Nic jej nie zraża. Wie i obmyśliła wszystko.

Cztery lata!

Taki niby długi szmat czasu, a już został po za nią...

Siedzi na swem łóżku i myśli.

Więc jutro!

Przed oczyma duszy przeciągnął korowód przyczyn i skutków.

Dobrze, że to już jutro.

*

* *

Zjechali rodzice, rodzina, zgromadziły się pensyonarki.

W szacie oblubienicy z mirtem i welonem, prowadzona przez przełożoną, przystępuje do ołtarza.

Po mszy i przemowie odprowadzają ją na obłóczyny.

W kościele skupiona cisza.

Tylko tu i owdzie ozwie się cichy szloch, lub stłumiony szept pensyonarek: taka młoda, piękna, ładnie jej będzie w habicie.

Zajęczały organy.

Wraca zeszpecona bez włosów, blada jak upiór, nie do poznania zmieniona.

Płacz się potęguje.

Biskup daje jej imię siostry Klary.

Raz jeszcze zapytuje, czy trwa w zamiarze wyrzeczenia się świata.

Jej postanowienie jest niezłomne.

Drży jak listek osiny, jednak rada przyjmuje powinszowania.

Oblubienica.

Teraz już jest członkiem zakonu, ma swoją celę. Jednak służy jej prawo odwrotu.

Każdej chwili nawiązać może nici, które zerwała własnowolnie.

I znowu, kropla za kroplą, płyną dni, tygodnie, miesiące.

Aż z niemi przypłynął dzień dozgonnych ślubów.

Wielki ołtarz goreje od świateł.

Kościół przepełniony.

Na chórze rodzina, zakonnice, pensyonarki.

Siostra Klara w absolutnej samotności przebyła regułą nakazane trzy dni rozpamiętywania...

I oto prowadzą ją w stroju zakonnym, otoczoną „siostrami.“ Jej biały welon na ciemny spływający habit, rażąco odbija od czarnych kwefów towarzyszek.

Twarz blada, spokojna, jakby skamieniała, nie mniejszy stanowi kontrast z oczami, w których od czasu do czasu zapalają się błyski bezradnej, oszalałej trwogi.

Ceremonia się rozpoczyna.

Za chwilę słabe włókno, wiążące ją jeszcze ze światem, pryśnie i cela klasztorna zamknie się za nią na wieki.

Dlaczego dziś duszę jej tak boleśnie rozdziera szlochanie matki.

Dlaczego dziś właśnie przed tą jej duszą biedną staje ten, którego obraz, zdało się, wyrwała z niej na wieki.

Dlaczego dziś właśnie podnosi głowę hydra zduszona?

Dlaczego?

Biskup zapytuje, czy gotowa jest złożyć przysięgę.

Nadchodzi chwila owego wielkiego „tak“, którego żadna siła ludzka zwrócić nie jest w stanie.

Oczekiwanie zapiera oddechy.

Siostra Klara chwieje się. Nerwowe drgania przebiegają po niej bolesnemi ukłuciami.

Chwila tragicznego milczenia.

Biskup ponawia pytanie.

„Nie“ wyrywa się z ust zbielałych rozpacznym krzykiem tonącego.

Nierozwiązalna zagadka ludzkiej psychy! Przetrwała siedem lat nowicyatu, decydujące trzy dni rozpamiętywania, aż oto kiedy przyszła chwila nieodwołalna, taka w niej się niepojęta zerwała burza trwogi i buntu.

W murach klasztornych wrażenia nie przechodzą tak szybko, jak w światowym zgiełku.

Długo jeszcze po odjeździe siostra Klara była przedmiotem rozmów.

Jakie to szczęście, że takiej niekonse-

kwentnej naturze choć w ostatniej chwili przyszła odwaga.

Tożby kiepska z niej była zakonnica!

A jakiem męczeństwem staćby się dla niej mogło życie klasztorne.

Nareszcie, czas choć jednostajny, uniósł w swym kołobiegu obraz siostry Klary.

*

* *

Była tak wyczerpana, że po kilka razy dziennie omdlewała.

Lekarze jednogłośnie zalecili kąpiele kwaso-węglowe.

*

* *

Kudowa! Śląsk i Meran, gdzie spędziła najpiękniejsze chwile swoich szesnastu lat.

Co za zmiany!

Staranna dyrekcya usunęła szpetny rząd sklepów, kramików, a na ich miejscu otworzył się widok rozległy, cudny, pełen czaru i poezyi.

Zieleń, kwiecie!

Smutne oko weseleje mimowoli.

Zgnębiona, zmięta dusza prostuje się.

Ta sama miła, zaciszna willa „Wunsz.“

Ten sam pokój, co kiedyś, przed laty.

Ten sam z balkonu widok na łańcuch gór.

Tyle lat! A jakby wczoraj!

Jak wczoraj!

Ta sama, a zawsze nowa feerya w kamień zaklętych światów.

Ileż to istnień ludzkich głodny wiecznie moloch pochłonął przez te lata bez śladu.

Wokół nich, po za niemi, cicho, podstępnie, skrada się Thanatos złowrogi i kosi, kosi bez zmiłowania.

A one, spokojne, tajemnicze, stoją niewzruszone.

Niewzruszone, ale nie martwe.

Kiedy niewidzialną ręką rozsunięty szary welon mgieł z nich opadnie, a słońce snopem promieni każde na nich źdźbło trawy, każdą roślinkę rozświetli, rozpali, to góry żyją zda się, oddychają.

Kiedy w chmurach skłębiona burza z groźnym po nich płynie pomrukiem, kiedy z bezsilnem warczeniem grom się po nich przewala po gromie, jakie one imponujące w swym kamiennym, sfinksowym spokoju!

U ich stóp, wysokie drzewa wyglądają jak pokornie przycupnięte karzełki.

Nad głowami ich spiętrzone zwały chmur,

niby światłem przepojona piana, płyną wolno, zadumane.

Chwilami, na szafirowych głębiach przystaną jakgdyby zapatrzone w granitowych gigantów.

Gdzieniegdzie kamienny ich spokój przetnie złoty szmat zbóż, lub szara gruda nieuprawnej ziemi.

A tam u ich zielonych szczytów śpiczaste korony sosen i jodeł, niby gotyckiej świątyni wieżyczki, strzeliście wbijają się w horyzont.

Indziej siedziba drapieżcy-człowieka natrętnie wtargnie w ich łono, lub u ich zbocza niby gniazdo orle zawiśnie!

A kiedy, z niedojrzanych regionów spływając, gaza siwej mgły miękkiemi je otuli zwojami, to wtedy chmury biorą postać gór, a góry wyglądają jak chmury.

Jak dobrze obcować z niemi!

Jak spokojnie.

Byle zdala od ludzi.

Byle nie z ludźmi.

*

* *

W niespełna pół roku zmieniona, postarzała, zjawiła się znowu u klasztornej furty.

Nie może już tam żyć między nimi!

Łudziła się.

Ona już z życiem na świecie nie potrafi nic mieć wspólnego. Nie dla niej ten wieczny jarmark nędznych kłopotów, marnych walk i zabiegów.

Niech się zmiłuje matka Aloiza: ona teraz z rozkoszą wykona śluby.

Tam żyć już żadną miarą nie może.

Mury klasztorne nie znają kompromisów; odepchnęły odstępczynię.

Siostra Klara odchodzi od nich, jak rozbitek od ostatniej deski ratunku.

Dzień cały błąka się jeszcze po mieście.

Pod wieczór bezwiednie, odruchowo, wraca pod klasztorną furtę, wyczerpana do ostatka.

Usiadła na wielkim kamieniu pod bramą.

Po dniu mozołów miasto tonie w rozkoszy spoczynku.

Roziskrzone niebo mruga tysiącem gwiazd.

Na lewo stara arkada, która kiedyś była bramą warowni. Podziurawione kamiennemi kulami Szwedów odrzwia, poszły jako żabytek do miejskiego muzeum, a brama, świadek świetnej przeszłości, dzielna niegdyś opora, dziś prawie ruina, służy za łącznik między starą a nową dzielnicą.

Jest w każdym razie jakiś z niej użytek.

A ona?

Ruina bezużyteczna, rozsypana w gruzy, których zwietrzałymi okruchami zawierucha targa niemiłosiernie...

Po za bramą, długim rzędem domów wyciągnięta ulica, bije z okien wesołą łuną świateł.

Za oknami przesuwają się sylwetki tych, którym życie nie poskąpiło miejsca u biesiadnego stołu: córek, pociechy rodziny, szczęśliwych żon i matek.

Ich piersi uczepione niemowlę, kwiecie ich życia.

A ona?

Rozbitek, na rozdrożu między dwoma światami, z których jeden rzuciwszy, do drugiego próżno zmęczone wyciąga ramiona.

Jaka cisza wielka, wymowna, idzie ku niej od tych szarych murów! Uczucie jakiegoś rozdwojenia bierze ją w moc swoją, jakgdyby duch jej od ciała oddzielony, analizował własne „ja.“

Tak, tu na tym kamieniu, spoczywa tylko cielesna jej powłoka. Duszy jej chorej część została tam w tym świecie, którego wieczny kiermasz tak dla niej żadnego już niema interesu!

Drugą, w strzępach, przyniosła tu i zostawiła po za tymi murami, do których teraz tuli się napróżno, jak do wypróbowanych przyjaciół.

Ani tam, ani tu!

Na rozdrożu!

Pamięć jej poczynają dręczyć mary wyobraźni.

Gdyby nie ten chwilowy dziwoląg wewnętrznej rozterki, byłaby w tem kojącem odosobnieniu wychylić mogła do dna lekarstwo na swoją chorą duszę.

Kiedy wróciła tam, do nich, stanęła wobec życia zupełnie teraz dla niej niezrozumiałego.

Za nicby już nie podjęła na nowo tych zapasów bezskutecznych, walk i daremnych cierpień.

Dreszcz znużenia zatrząsł jej wątłem ciałem.

Rozpacz cicha, bez wstrząśnień, rozsiada się w niej wszechładnie...

Poczyna sypać śnieg, przesłaniając świat cały białą kurzawą.

Patrzy bezmyślnie, jak białe płatki wirują w powietrzu, jak coraz się grubszą warstwą układają na jej odzieniu.

Przez mgłę półsnu widzi majaki mar te-

go życia, którego ostatnia nadzieja odstępuje, jak fala morska po odpływie.

Więc dla niej miejsca niema nigdzie.

Walka myśli przycicha powoli.

Dreszcz wstrząsa nią znowu.

Chłód kraje jej członki ostrzem fizycznego bólu.

Przedostaje się do serca i wierci w niem, tamując uderzenia.

Całe ciało kostnieje...

Na chwilę wraca świadomość.

Więc to koniec!?

Szalona trwoga nicości podrywa jej zmurszałe członki.

Zrywa się, chce biedz i twarzą pada na białe, miękie podścielisko.

A śnieg sypie wciąż i sypie, aż nad głową jej usypał cichy, biały kurhan.

Zapoznany.

Siedzi przy biurku już długą chwilę, ale mu się dziś jakoś nic nie klei.

Koło ust zarysował się wyraz twardej pogardy.

Podłe to życie!

Ileż ono czasu rzucało mu kamienie pod nogi.

Zwątpienia, odmowy, drwiny, złośliwość, oto stali towarzysze codziennej Golgoty.

Dobrze, że już to wszystko ma po za sobą.

Ale cierń z tych codziennych smagań pozostał w sercu i niełatwo go wyrwać.

Mimowoli rzucił okiem w lustro.

Uśmiechnął się do swego odbicia.

Z tym wyrazem samoudręki bardzo mu do twarzy.

Tak się będzie fotografował.

Przecież teraz, kiedy „Nowa Scena“ wystawia jego dramat, pisma illustrowane napewno zażądają portretu. No i kobiety.

Kobiety chyba szczególniej.

Ale długo się prosić da i o wywiad i — o miłość.

Miłość! miłość! Nareszcie doświadczy w całej pelni tego szału, który intuicyjnie w swoim dramacie tak gorąco, tak upajająco, tak porywająco opisal.

O Staśce naturalnie nie może być mowy.

Życie jego bierze taki obrót, że ona w niem żadnej roli grać nie może.

Niema w niem poprostu dla niej miejsca.

Zatrzymać ją—byłoby zaparciem całego swego wewnętrznego „ja.“

Czyż ta dziewczyna może go zrozumieć?

Psycha jego tak daleką jest od jej pojęć...

Chciał gwałtem samego siebie przekonać.

Ale wyrzut ugryzł go w serce.

Taka poczciwa, taka oddana.

Prawda, że brakiem zrozumienia doprowadzała go nieraz do pasyi.

Ale jak słodko znosiła te jego wybuchy, zupełnie czasem nieusprawiedliwione, ot poprostu, ze zdenerwowania.

I ani słowa, nigdy wyrzutu.

Czasem nawet pozwoliła sobie doradzić mu obranie innego zawodu, ale robiła to tak delikatnie, dyskretnie, z takim lękiem, żeby go nie urazić...

A potem, gdyby nie te jej zabiegłe, kochające dłonie, nie byłoby tego pokoju, tego biurka.

Kto wie nawet, czy wieczny helota twardych warunków życiowych byłby w stanie napisać swój dramat.

Poczciwa Stacha!

Ale trudno!...

A zresztą, może mu przyjdzie wyjechać?

Wstał i odruchowo zapalił papierosa.

Biedna!

Rzuciła względny dobrobyt i poszła dzielić z nim ciężką dolę.

Duszą i ciałem oddała mu się bez zastrzeżeń.

To wszystko prawda, ale trudno!

Jemu trzeba życia! życia! pełni życia!

Precz z drogi wszelkie zapory!

A że go kocha, tem lepiej!

Jest prawie pewien, że ona dla jego dobra chętnie poniesie tę ofiarę.

Ani przeczuwa, biedactwo, że swem za-

parciem ułatwi mu drogę, na końcu której— rozłąka.

Dziwna rzecz: wszystko, co pochodzi od niej, obraca się na jego dobro.

Nawet ta rozłąka...

Budzi się w nim literat:

Co za znakomity temat!

Ot, pochwyci żywy gest rozczarowania, rozpaczy i przeniesie go na papier. Czuje, że napisze coś niezwykłego.

Znał lekarza, który aby wzbogacić swoją wiedzę, obserwował każde drgnienie agonii swojej żony.

Kto wie, jaki on na tem tle wstrząsający stworzy dramat.

Dramat podpatrzony, podsłuchany, wykradziony wprost życiu.

I myśl tej wiwisekcyi tak w tej chwili pochłonęła całą jego samowiedzę, że Stacha, jej oddanie, jej ból, jej zaparcie, wydały mu się naturalnym, należnym warunkiem jego twórczości.

To będzie pulsowało życiem!...

Tylko jak zacząć? od początku, czy od końca?

Ależ od początku. Wstrząsająca scena pożegnania, jako „clou“, na ostatku.

Siedzi w fotelu, przed biurkiem...

Czy rozum traci? Skąd znowu?

Poznał ją na wiecu...

Zainteresowała go ciężkiemi powiekami, rozwartemi z takiem przejęciem; pochyleniem zasłuchanej, zapatrzonej postaci.

Zbliżył się, nawiązał rozmowę i zdziwił się jej percepcyi.

Potem, spotykali się na wiecach często.

A potem... rzuciła wszystko i poszła za nim.

Ależ do kroćset! Zamiast snuć dramat, on snuje swoje wspomnienia.

Idyotyzm!

Jak skończy z tym dramatem, musi się wziąć do groteski; oddawna ma do niej pociąg: opluwać, ośmieszyć to życie, w którem dramat i farsa trącają się łokciami, zjadliwie, bez pardonu.

Tak, to nawet bardzo odpowiada istocie jego talentu.

Stanowczo farsę satyryczną, ale to później, przedewszystkiem ten dramat.

Ani się spostrzegł, jak drzwi się otworzyły i stanęła w nich—Stasia.

Był tak zajęty swoim utworem, że jej wejście nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

Patrzał na nią okiem krytycznem, jak malarz obserwujący modelkę.

Pochwycić właściwości: zewnętrzna forma, to łupina, w której kryje się jądro—istota wewnętrzna.

Należy studyować.

Nie widział słodkiej dziewczyny z przezroczystemi oczami gazelli, w skromnej, ciemnej, doskonale ją ubierającej sukience, w czarnym rembrancie, na rudawo-blond główce.

Nie widział Stachy, widział swój utwór.

Po chwili jednak zdziwiła go jej niezwykła mina.

Spoglądała na niego smutnie wystraszonemi oczyma.

Czyżby przeczuwała, co jej dzisiejszy wieczór niesie?

Tylko żadnej słabości!

Śledził każde jej poruszenie.

Chciał zachować w pamięci każdy gest, każdy ruch.

To bardzo ważne...

Nie chciałby, żeby cośkolwiek uszło jego uwagi.

Drobny szczegół może nieraz stanowić o powodzeniu...

— Dobry wieczór, Gutku.

— Dobry wieczór, Stasiu—odparł zimno.

Zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go czulej jeszcze, niż zwykle.

To tak, jak gdyby dziś właśnie, w ten decydujący wieczór chciała mu okazać więcej jeszcze miłości.

Czuł po za tem powitaniem coś niedopowiedzianego, jakąś chęć, jakieś życzenie.

Trudno, nie zareaguje na nic!

Pozwolił się całować, ale pozostał zimny.

Żadnej słabości!

Nic postanowionego nie odwróci, nic!

Należy się to jego twórczości, jego talentowi!

Ostatecznie cóż mu pozostaje?

Poświęciła dla niego wszystko, prawda.

No, ale żenić się z nią przecież nie może, a żyć jak dotąd wobec stosunków, jakie go prawdopodobnie czekają, też nie.

Wysunął się z jej objęć ostrożnie, delikatnie.

Nie chciałby jej za nic w świecie zranić.

Odstąpiła od niego na krok, ściągnęła powoli żakiecik, zdjęła wolno, w uderzająco ociężały sposób, kapelusz.

To mu nasunęło domysły:

Niewątpliwie wie, że się szykuje coś niezwykłego.

Ale skąd? W jaki sposób?

Kobiety mają jednakże jakiś nadzwyczajny dar przeczuć.

Wszystko jedno: rzecz postanowiona, nieodwołalna.

— Przeszkodziłam ci, Gutku—powiedziała nieśmiało.

— Nie, wcale, nic nie robiłem.

— Masz taką nasrożoną minę, jak gdybyś się gniewał na mnie.

— Broń Boże! Nawet poprzednio dużo o tobie myślałem.

— Kochany!

— Pragnąłbym tylko z tobą pomówić poważnie.

Przysunęła się z krzesełkiem, żeby mu bliżej w twarz zajrzeć.

— W sprawie teatru? — zapytała z dziwnym lękiem.

— Tak, w sprawie teatru.

— Więc już wiesz?

— Już wiem? Co mam wiedzieć?

— No bo... widzisz...

— A więc w sprawie teatru—zaczął, widząc, że ona zamilkła.—Czy nie przyszło ci do głowy niejedno, kiedym ci rano czytał list „Nowej Sceny“, gdzie mi donoszą o przyjęciu mojej sztuki i proszą o przybycie jutro

przed południem, w celu porozumienia się z dyrektorem? Czy nie pomyślałaś wtedy o nas obojgu?

— O tak, myślałam o nas obojgu, ale przedewszystkiem myślałam o tobie.

— No, i...

— Tak się cieszyłam... chciało mi się płakać z radości.

— A teraz?

— O, to okropne, to straszne!

Słowa wychodziły jej z ust z trudnością. jakby męką serdeczną zdławione, znać siłą powstrzymywała łzy.

Oh, te łzy kobiece, jak on ich nie cierpił!

— Czegóż płaczesz? przecież ci nic jeszcze nie powiedziałem.

— Ale ty wiesz już. Widać to po tobie.

Nie mogła już zapanować nad sobą i powstrzymywany płacz zatrząsł jej bujnem ciałem.

— Ależ co widać po mnie?

— W karcie stoi wyraźnie... Kiedy mi listonosz oddał... nie miałam odwagi wejść z nią do mieszkania.

Patrzał na nią przez długą chwilę nie rozumiejąc.

Nareszcie wyciągnął rękę po kartę, któ-

rą ona, ociągając się, wydobywała z torebki.

Czytał. Czytał i odczytywał każdy wiersz po kilka razy, jak gdyby nie mogąc zrozumieć.

Szanowny Panie!

Przez pomyłkę zakomunikowano Sz. Panu przyjęcie Jego sztuki przez „Nową Scenę."

Z żalem powiedzieć musimy, że sztuka Sz. Pana na naszej scenie zastosowania znaleźć nie może. To na prędce, ażeby Panu oszczędzić fatygi bezowocnego trudzenia się do nas. W obszernym liście bliższe szczegóły.

Na teraz nie pozostaje nam, jak stokrotnie Sz. Pana za nieuwagę naszego sekretarza przeprosić.

Z poważaniem

Dyrekcya „Nowej Sceny."

Zagasł jak przydeptana zapałka.

Dusza mu się w kłębek zwinęła, jak pies zbity.

Tak szybował wysoko...

A teraz co?

Nizko, niżej, ku ziemi, pod ziemię najlepiej...

Niepodobna żyć z takiem uczuciem próżni. Z takiem poczuciem własnej nicości.

I nie ma poco żyć.

Naokół pustka taka.

Nagle poczuł parę ciepłych ramion wokoło swej szyi, spłakaną twarzyszkę tulącą się do swojej twarzy.

— Gutku, drogi, jedyny, nie bierz tego tak do serca.

— Tak, tak.

— Otrząśnij się.

— Dobrze, dobrze.

— Napiszesz coś nowego, zobaczysz.

— Dobrze, dobrze.

— Napiszesz?

— Napiszę, hahaha! napiszę... groteskę.

SPIS RZECZY.

Jan Lorentowicz. „MŁODA POLSKA”

Z portretem autora.

TREŚĆ: „Porozumienie z czytelnikiem”. Młoda Polska i t. z. „Modernizm” Krystalizacya programów Miriam i „Chimera”; Antoni Lange, Jan Kasprowicz.

Dziennik Poznański w № 258 r. 1908, o dziele tem napisał:

W krótkich, zwięzłych, szkicowo rzuconych rysach podaje *p. Lorentowicz* charakterystykę ogólną „młodych” w literaturze i tak zwanego „modernizmu”, zajmując wobec niego stanowisko pod pewnym względem nawet entuzyastyczne, choć zarazem nie pozbawione krytycznego spojrzenia na dzieła i sprawy „Młodej Polski”. Honorowe i naczelne miejsce przeznacza Miriamowi (Zenonowi Przesmyckiemu). Omawiając jego działalność stwierdza, że głównym jej celem było powolne, wytrwałe, zapamiętałe budowanie ideałów estetycznych, sprawdzanie i potwierdzanie własnej syntezy na dziełach i arcydziełach wszelkich piśmiennictw, wreszcie podawanie czytelnikowi polskiemu najpiękniejszych wzorów twórczego ducha obcych. Poddaje także *p. Lorentowicz* krytycznej analizie twórczość oryginalną Miriama, wykazując jej zasadnicze pierwiastki i znamiona.

Drugie z kolei studyum poświęca *p. Lorentowicz.* Antoniemu Langiemu. W pracy tej obszerną dygresyę stanowi omówienie wpływów francuskich na poetę. Celem oryentacyi kreśli *p. Lorentowicz* — z niepospolitem znawstwem — charakterystykę prądów panujących w literaturze francuskiej lat ośmdziesiątych, wskazując, że oryentacya ta niezbędną jest dla każdego, kto chce ujrzeć we właściwem świetle niektóre prądy ideowe „Młodej Polski”. Dopełnia treści książki gruntowne studyum o Janie Kasprowiczu.
